

Bob

w naszej pamięci



Bob

w naszej pamięci

Media Rodzina

Copyright © for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o., 2021

Projekt okładki

Andrzej Komendziński

Zdjęcia na okładce i kontrtytule

Media Rodzina

Zdjęcia w tekście:

Archiwum R.D. Gamble’a 1-5, 10, 11, 16

Sławek „Spiker” 6, 7, 23, 24

Bożena Plota 8, 9, 17

Media Rodzina 12, 13, 18-22, 26, 28-34

Wielkopolski Urząd Wojewódzki 14, 15, 36

Urząd Miasta Poznania 25, 27

Waldemar Matyja 35

Waldemar Wylęgalski 37-39

Kancelaria Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej 40

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-994-5

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk

Abedik

Od wydawcy

PUBLIKACJA TA JEST SPONTANICZNYM ZAPISEM wspomnień przyjaciół, bliskich, znajomych i współpracowników śp. Roberta D. Gamble’a. Mamy świadomość, że to tylko ułamek tego, co po Nim pozostało. Boba znało wielu i jesteśmy przekonani, że wielu jeszcze długo będzie Go wspominało. Dlatego bardzo gorąco prosimy wszystkich o nadsyłanie do wydawnictwa Media Rodzina swoich refleksji czy wspomnień o Bobie.

Tak się stało, że pandemia nie oszczędziła wielu rodzin na świecie. Media Rodziny także. Jest jednak naszym wielkim pragnieniem, by ocalić po Bobie to wszystko, co On stworzył. A stworzył wiele. Dla Polski i Poznania. Dla Poznania w szczególności. Kiedy pytaliśmy, kto spośród Amerykanów, ba! spośród obcokrajowców zrobił osobiście tyle dla Poznania, odpowiedź była zawsze taka sama – BOB!

B.K.

Bronisław Kledzik

„NIE BYŁOBY BOBA, NIE BYŁOBY MEDIA RODZINY” – tymi słowami zwróciłem się w styczniu 2020 roku do obecnego na jubileuszu 50-lecia mojej pracy zawodowej pana Roberta Gamble’a. Bynajmniej nie miałem na myśli tylko wydawnictwa jako instytucji, dla Boba o wiele ważniejsze było to, co jest w wydawnictwie, po jakiej podąża ono drogą. Czyli, krótko mówiąc, wydawane książki.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO?

Pewnego dnia, a był to rok 1991, drugi rok po upadku PRL-u, zawitał do Wydawnictwa Poznańskiego, w którym pracowałem, Amerykanin Robert Gamble z misją wydania książki Adele Faber i Elaine Mazlish *How to Talk So Kids Will Listen, and Listen So Kids Will Talk* / *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły*. Świadomie piszę, „zawitał z misją”, a nie – jak zwykło się

mówić – przyszedł z propozycją albo z ofertą. Bo to była misja. Ta książka pomogła jemu w zachowaniu dobrych relacji z synem i on, Robert Gamble, wierzy głęboko, że pomoże również wielu polskim rodzinom.

Może to był przypadek, a może ten moment, kiedy – jak mówią niektórzy – Pan Bóg chce być anonimowy, a może jak jeszcze ciekawiej definiował takie chwile sam Bob: „*God writes the scenerio*” (Pan Bóg reżyseruje). Trafił do mnie, bo tak mu podpowiedział Lech Jęczynek, wybitny tłumacz literatury rosyjskiej i angielskiej. Znaliśmy się z Lechem od dawna, w ostatnich latach PRL-u szczególnie bliskie było nam marzenie o jego upadku.

Kiedy pojawił się Bob, to marzenie stało się już faktem, ale faktem dla mnie coraz bardziej oczywistym było też widmo zbliżającego się bankructwa Wydawnictwa Poznańskiego. Chciałem ten moment maksymalnie oddalić, również z myślą o swojej zawodowej przyszłości. Misja Boba wydała mi się jak najbardziej na czasie, zwłaszcza że z jego ust padła deklaracja, że on pokryje koszty zakupu licencji. A była to w owych latach deklaracja bezcenna. Zdobycie tak zwanych dewiz na zakup praw autorskich graniczyło z cudem. Po paru tygodniach podpisaliśmy umowy na wydanie książki w języku polskim i na tym, niestety, się skończyło. Zabrakło już pieniędzy na jej przekład, prace redakcyjne i na druk nakładu. Koniec. Wydawnictwo Poznańskie mogło już tylko dryfować.

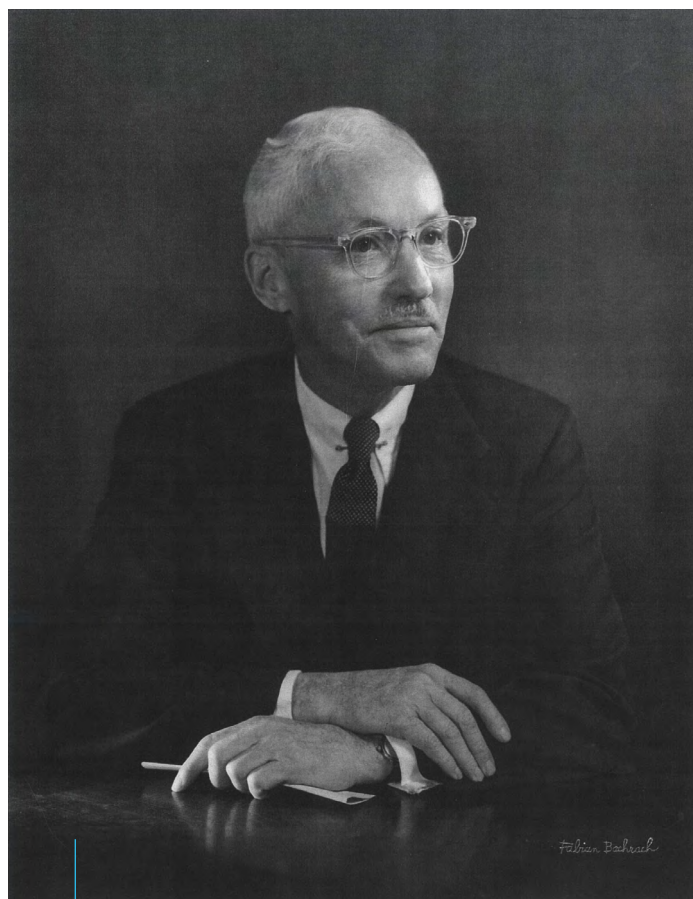
Jednak moje spotkania z Bobem stawały się coraz częstsze. Nasze rozmowy z natury rzeczy dotyczyły przede wszystkim książek. Dowiedziałem się, że to on „sprowadził” do Polski Kurta Vonneguta i jego słynny bestseller *Rzeźnia numer pięć*, a także Josepha Hellera *Paragraf 22*, obie powieści przełożył na język polski właśnie Lech Jęczynek. Że to on, Bob, pomagał polskim dysydentom w stawianiu pierwszych kroków na amerykańskiej ziemi, m.in. Stanisławowi Barańczakowi czy Wojtkowi Wołyńskiemu.

Bob na Uniwersytecie Harvarda studiował anglistykę, pracę końcową pisał z twórczości Kiplinga, autora m.in. *Księgi dżungli*. Słuchał też wykładów i wielokrotnie rozmawiał z wybitnym polskim slawistą profesorem Wiktorem Weintraubem. To jemu być może zawdzięcza nie tylko rozwiązywanie łamigłówek językowych, ale także cel swojego pierwszego wyjazdu na egzotyczne wakacje za żelazną kurtyną.

Była nim Polska. W 1958 roku, dwa lata po Poznańskim Czerwcu, wraz z grupą amerykańskich studentów z organizacji The Experiment in International Living, która stawiała sobie za cel budowanie mostów między narodami, przyjechał do Warszawy i zamieszkał u Lecha Jęczmyka. Stąd – jak sam wspomina – „jeździłem do Giżycka, Zakopanego, Poznania. W Poznaniu zostałem aresztowany i zatrzymany na 1,5 godziny za to, że ośmieliłem się sfotografować siedzibę Urzędu Bezpieczeństwa”.

Wyjazd do Giżycka i Zakopanego był niewątpliwie czystą turystyką, ale wybór Poznania, który jeszcze w tym czasie lizał rany po krwawo stłumionym powstaniu, a na dodatek fotografowanie znienawidzonego przez poznaniaków Urzędu Bezpieczeństwa, to była decyzja ideowa. Młody student wiedział już dużo o Polsce, echa Poznańskiego Czerwca dotarły do niego w pełnym brzmieniu. Nie dziwi zatem decyzja, jaką podjął po 34 latach, by tu zamieszkać i rozwinąć skrzydła. Zanim jednak do tego doszło, przyjechał ponownie z tą samą organizacją tym razem do Krakowa, tam poznał swoją przyszłą żonę, wrócił do Stanów, gdzie urodził im się syn Dominik, jednak – jak mówi – „małżeństwo nie przetrwało, jesteśmy po rozwodzie”.

Przyjazd do Poznania był, jak wspomniałem wyżej, świadomym wyborem ideowym Roberta Gamble’a. Świadczy o tym jeszcze dobitniej fakt, że na siedzibę swojego ukochanego Radia Obywatelskiego wybrał pomieszczenia w Zakładach Cegielskiego. To tam po raz pierwszy w PRL-u robotnicy upomnieli się o prawo do wolności i chleba. To tam



1. Clarence James Gamble (1894-1966), ojciec Boba.

pod główną bramą fabryki 28 czerwca każdego roku o godzinie 6 rano meldował się, by oddać im hołd.

PIERWSZE KSIĄŻKI

Pierwszą książką, której wydanie zlecił Bob w Polsce, jeszcze zanim założył własne wydawnictwo, była praca popularnonaukowa Lawrence'a Goodwyna *Jak to zrobiliście? Powstanie Solidarności w Polsce*, którą opublikował KAW. Jeden z głównych rozdziałów tej książki dotyczy właśnie Poznańskiego Czerwca i buntu poznańskich robotników w 1956 r. Miałem z tą książką dość niecodzienne przeżycia, ponieważ Bob wpadł na pomysł, by przesłać ją każdej wymienionej w niej osobie. Nie pamiętam, ile nazwisk zawierał indeks (może ok. 500?), ale pamiętam, że był tam Gierek, Jaruzelski, Kania, Szydlak, Gorbaczow, Reagan itd. Nie zawsze udawało mi się znaleźć pełny adres, wtedy na kopercie pisałem tylko nazwisko, instytucję i kraj. Na przykład: „Michaił Gorbaczow, KPZR, ZSRR”. Jakże byłem podekscytowany, kiedy w towarzyszącym przesyłce liście pisałem, że „mam przyjemność”... itd. Jeśli dobrze pamiętam, otrzymaliśmy bodaj tylko jedno podziękowanie!

I jeszcze jeden fakt, bynajmniej nieprzypadkowy, tak sądzę. Lektura książki Lawrence'a Goodwyna wywołała u Boba wielki podziw dla postawy przywódcy strajku robotników w Zakładach Cegielskiego, Stanisława Matyi. Na początku lat dziewięćdziesiątych, tuż po założeniu Radia Obywatelskiego – wtedy Stanisław Matyja już nie żył – pan Robert spotkał jego syna, Waldemara, wówczas tramwajarza, motorniczego. Nie minęło wiele czasu, a między nimi wywiązała się wielka przyjaźń, tak wielka, że kiedy do Poznania zjechało się całe rodzeństwo Boba, by zobaczyć, co robi ich najmłodszy brat, ten wsadził ich do jednowagonowego tramwaju i poprosił Waldka, aby poobwoził krewnych po ulicach Poznania. Ubolewał tylko nad jednym, że na ulicy Kochanowskiego, gdzie mieścił się budynek Urzędu Bezpieczeństwa, nie ma szyn tramwajowych.

Spotkanie Boba z Waldkiem Matyją miało jeszcze tę jakże ważną konsekwencję, że od tej pory zaczęła coraz bardziej zacieśniać się ich wzajemna przyjaźń. Waldek stał się najbardziej troskliwym opiekunem Boba w ostatnich kilku latach. I tak było do samego końca.

KORZENIE

„Jestem bostończykiem szkocko-irlandzkiego pochodzenia” – tak zwykł przedstawiać się pan Robert. Urodził się w 1937 roku w Filadelfii. Jego pradziadek James Gamble przybył do Stanów z Irlandii w 1819 roku. Tam razem ze swoim kolegą Procterem założyli firmę Procter & Gamble, która po kilkudziesięciu latach stała się w Stanach jednym z największych producentów środków czyszczących. Dziadek firmę jeszcze bardziej rozwinął, ale ojciec Clarence James Gamble zamiast biznesu wybrał medycynę. Ożenił się z Sarah Merry Bradley, która zajmowała się nie tylko domem, ale również działalnością społeczną, a on sam stał się specjalistą w dziedzinie planowania rodziny. „Może dlatego – jak wspomina Bob – każde z pięciorga rodzeństwa rodziło się regularnie co dwa lata”. Każde też wybrało swoją drogę życia. Jeden brat został lekarzem, drugi biznesmenem, jedna siostra nauczycielką, druga działaczką społeczną, a on, Bob, najmłodszy – pastorem.

Przedtem jednak były studia na Harvardzie, potem dwuipółletnia służba w wojsku, w marines, a jeszcze potem seminarium duchowne i praca kapelana szpitalnego. Najważniejsze – jak wspomina – było słuchanie chorych. Nie nawracanie, nie karanie pokutą, tylko SŁUCHANIE. Wątek słuchania wielokrotnie pojawiał się w wypowiedziach Boba. To słowo jak magiczny klucz zakodowało się w jego filozofii. Pojawiło się w tytule pierwszej książki, którą postanowił wydać, a zaraz potem w tytule bestsellerowej opowieści *Człowiek, który słucha koni* Monty’ego Robertsa. Pojawiło się też w sloganie reklamowym Radia Obywatelskiego: „Radio, które słucha Ciebie”, a tak-

że podczas ostatnio zainicjowanej przez niego kampanii przeciwko pedofilii.

WSPÓLNOTA AA

Pan Robert Gamble był księdzem, który wierzył. Kiedy piszę te słowa, oczom swoim nie wierzę, co piszę. Sam mam problem ze sprawami wiary. Jednak zawsze imponowała mi głęboka i prawdziwa wiara pastora Gamble’a. Wielokrotnie porównywałem ją z wiarą znanych mi księży katolickich. Zawsze wychodziło mi tak samo. Bob jako duchowny nie miał sobie równych. Nie chodzi mi tu bynajmniej o syndrom Marii Magdaleny ubóstwiającej Pana, rzadko widywałem rozmodlonego Boba, ale niemal zawsze spotykałem go pomagającego ludziom. To była jego największa misja. Święta misja. Najpierw jako kapelan świadczył posługę chorym w szpitalach w Stanach, a kiedy tylko przyjechał do Polski, włączył się bez reszty we Wspólnotę Anonimowych Alkoholików. Miał dużą wiedzę na ten temat jeszcze z Ameryki. W 1984 roku zaangażował się w organizację pierwszego ogólnopolskiego Zjazdu AA. Sponsorował wyjazdy do Stanów polskich psychologów, by tam mogli się uczyć, jak pomagać alkoholikom w powrocie do zdrowia. Jego bliskimi doradcami byli m.in. dr Bohdan Woronowicz, dr Danuta Dudrak, dr Maria Matuszewska, prof. dr Wiktor Osiatyński i jego żona dr Ewa Woydyłło-Osiatyńska, wybitna psycholożka. Nic dziwnego, że po wielu latach organizowania mityngów AA, publikacji książek aowskich, udzielania bezpośredniej pomocy osobom uzależnionym poprzez umieszczanie ich w ośrodkach odwykowych, pan Robert stał się powszechnie akceptowanym sponsorem i mentorem polskiego ruchu AA. Ta jego działalność znalazła też uznanie w oczach prezydenta Rzeczypospolitej, który za zasługi w rozwoju ruchu AA w Polsce w 1999 r. odznaczył Roberta Gamble’a Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Natomiast polska Wspólnota Anonimowych Alkoholików uhonorowała go w Licheniu szczytną statuetką Pelikana.

DOMINIKANIE

Jakby tego było mało, już po kilku latach od podjęcia decyzji, by tu, w Polsce, pełnić swoją misję, pastor Gamble postanowił roztoczyć opiekę nad anglikanami i w 1995 roku został kapłanem warszawskiej parafii Kościoła Episkopalnego, a w roku 2014 w uznaniu zasług – jej honorowym proboszczem. Z tego też tytułu spadły na niego obowiązki uczestniczenia w ważnych uroczystościach państwowych, na przykład w obchodach święta 4 Lipca czy zakończenia pierwszej wojny 11 Listopada.

To dzięki pastorowi Gamble'owi, krótko po powstaniu wydawnictwa Media Rodzina, nawiązaliśmy bliskie bezpośrednie związki z poznańskimi dominikanami. Tego nie jestem pewien, ale przypuszczam, że wszystko zaczęło się od charyzmatycznego o. Jana Góry, który miał tę unikalną umiejętność znajdowania ludzi czyniących dobro. Nic dziwnego, że szybko trafił na Boba. Ten zaś, czując się już wydawcą, szczególnym sentymentem darzył wydawnictwo W drodze, którym wówczas kierował o. Tomasz Dostatni. Tak zaczęły się nasze wspólne wyjazdy na targi książki do Frankfurtu n. Menem, a potem jakże bliskie i krzepiące dla nas spotkania czy to z racji naszych jubileuszy, czy innych ważnych wydarzeń.

JUBILEUSZ

W 80. rocznicę urodzin Boba spotkaliśmy się – jakżeby mogło być inaczej – w niewielkiej kaplicy u dominikanów. Obecni byli pracownicy wydawnictwa, przyjaciele Boba oraz znajomi. Po mszy świętej, którą celebrował o. Tomasz Dostatni w asyście pastora Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego Ostryga, który wygłosił piękną homilię opartą na biblijnej przypowieści o siewcy, udaliśmy się do przyległego pomieszczenia przypominającego niewielką kawiarnię i tam składaliśmy jubilatowi życzenia. Były toasty, były gratulacje, były wspólne fotografie, były wspomnienia. Nawiązując do wspomnianej w homilii przypowieści, powie-

działem, że pan Robert przypomina mi biblijnego siewcę. Idzie i siewce ziarno, idzie i siewce...

RADIO OBYWATELSKIE

Radio Obywatelskie to było to ziarno, które bardzo szybko zakiełkowało. Pierwsze w Polsce talk radio, „Radio, które słucha Ciebie”. To nie był tylko slogan reklamowy radiostacji. W wywiadzie udzielonym redaktorowi Marcinowi Wójcikowi z „Gazety Wyborczej” Robert Gamble wyznał: „Chciałem, aby Polacy nauczyli się słuchać i mówić. Wydaje mi się, że macie z tym problem. To może być historyczny kontekst – zabory, okupacja, komuna. Nie mogliście swobodnie mówić, więc kiedy nastał czas swobody, przestaliście słuchać, tylko mówicie wszyscy naraz”.

Początki radia jak zwykle były trudne, nie tylko ze względów technicznych, ale głównie organizacyjnych. Koncesję na nadawanie otrzymała Fundacja Solidarności, założona przez Lecha Wałęsę, a z jej ramienia radiem zarządzał Julian Zydorek, działacz Solidarności w Poznaniu. Robert Gamble był sponsorem radia, ale w poważnym stopniu – jeśli tak można powiedzieć – jego duszą programową. Już po kilku miesiącach działalności radia głośno o nim było na ulicach Poznania, w tramwajach, w prywatnych domach i w pracy. No bo co to znaczy, że radio słucha ciebie? Kogo? Nas? To przecież my słuchamy radia. Oni mówią, my słuchamy. Oni wiedzą, my nie wiemy. Oni zagrają, my tańczymy tak, jak oni chcą. Tak jak było w PRL-u. Więc co my mamy do gadania?

No i się zaczęło. Telefony dzwoniły do radia jak oszalałe. Pamiętamy, to były pierwsze miesiące wolnej od cenzury Polski. Na antenie radia słuchacze pozbywali się peerelowskiej traumy. Mówili, co ich boli, co chcą zmienić, mówili o swoich chorobach, mówili gwarą poznańską, jękali się, przełamywali swój lęk. Na przykład:

– Słyszał pan wczoraj, co powiedział w radiu Roman? – zaczęli mnie znajomy.

– Nie, wczoraj byłem w Warszawie.



2. Rodzice i rodzeństwo. Siedzą: Sarah Merry (matka), Judy, Bob, Walter, Clarence James (ojciec). Stoją: Dick i Sally (1942).



3. Rodzeństwo. Od lewej: Walter, Sally, Bob, Judy i Dick (1993).

– Panie, pierwsze, co panu powiem, to jaki on Roman? To mój sąsiad! Poznałem go po głosie. To stary ubek. Wskoczył do naszej bimby i będzie znowu mówił, jak mamy jechać?

Albo:

– Wczoraj rozmawiali o pomniku, gdzie ma stanąć. I Józef powiedział, ja go lubię, on często dzwoni do radia, żeby się nie kłócili, bo jest tak, jak powiedział jeden ksiądz, góral, że racja jest jak dupa, każdy ma swoją! Ale czy ksiądz, panie, mógł tak brzydko powiedzieć?

– Tak powiedział Piłsudski, nie ksiądz. Ksiądz góral powiedział, że jest prawda, cała prawda i gówno prawda – wyjaśniłem.

– A to co innego. Chwała Bogu!

Albo:

– Dzwoniła Krysia, że niby nic nie drożeje. A dlaczego wieczorem na rynku zamiast wszystko być tańsze, jest droższe? Panie, wszystko idzie do góry. Ja się uszykuję z telefonowaniem na jutro i ja ją zapytam, co ja mam moim szarankom włożyć do gęby?

Bob triumfował! Wymyślał codziennie tematy rozmów, ustalał zasady długości wypowiedzi (bodaj dwie i pół minuty), zwracał słuchaczom uwagę, że nie wolno rzucać oskarżeń *ad personam*, nie wolno mówić, że ktoś jest głupi, można natomiast powiedzieć: wydaje mi się albo mam wrażenie, że ten ktoś jest idiotą itd. Doszło do tego, że pełniąc radiowy nocny dyżur, Bob zasypiał na podłodze. Nie wracał na Pasiekę do siedziby firmy, gdzie zamieszkał w małym pokoiku, w którym mieściła się niewielka wersalka i malutki stolik z jednym krzesłem. Kiedy rano przychodziłem do pracy, Bob siedł do łazienki, a potem do kuchni, gdzie od czasu do czasu czekało na niego śniadanie, pachnący świeży chleb, ser i dżem. To sprawiła intuicja pań, które od razu wyczuły w radiowym głosie Boba, że potrzebuje on czulej opieki. Już po kilkunastu dniach zorientowałem się, że chodzi tu o stary, wypróbowany sposób, by trafić przez żołądek do serca samotnego Amerykanina. Zaloty trwały wiele miesięcy, Bob jednak był nieugięty. Jedna z pań jeszcze po latach zaglądała, czy aby pan Robert czegoś nie potrzebuje. Ten jednak

zajęty codziennym wymyślaniem tematów do rozmowy radiowej odpowiadał:

– Może niech będzie tak, że założymy dwie partie: „Masło” i „Margarynę”. I niech każdy wybierze, co woli. A jeśli ktoś doszedł do wniosku, że się mylił, może zmienić ugrupowanie. Moje talk radio to były takie rozmowy przy kuchennym stole. Kiedy przyjeżdżałem do Polski za komuny, Solidarność spotykała się w domach, w kuchni przy stole. W takiej scenerii toczyły się najważniejsze dla kraju rozmowy. Dlatego chciałem przenieść ten klimat do naszego radia.

Od zaprzestania działalności Radia Obywatelskiego minęło już wiele lat. Po dziś dzień spotykam ludzi, którzy z wielkim uznaniem wspominają audycje legendarnego radia, a szczególnie tego jednego pana, który wspaniałą radiową gambolszczyzną (Bob miał wybitnie radiowy głos), zmagając się w heroiczny sposób z językiem polskim, poruszył serca i umysły radiosłuchaczy.

POLSZCZYŻNA-GAMBOLSZCZYŻNA

Pierwsze namacalne ślady gambolszczyzny pojawiły się już w pierwotnej nazwie naszego wydawnictwa. W Bostonie pan Robert założył firmę medialną Media Family of Massachusetts, co przełożyło się w Polsce po prostu na Media Rodzina of Poznań. Nigdy nie potrafiłem pogodzić się z tym łacińsko-polsko-angielskim łamańcem. To był czas w Polsce, kiedy nastąpił prawdziwy wysyp nazw firm obco brzmiących. Nic więc dziwnego, że ktoś w poznańskim magistracie wpadł na pomysł, że jeżeli w takiej nazwie pojawi się słowo POZNAŃ, to trzeba będzie uiścić z tego tytułu stosowną opłatę do kasy miasta. Ostatecznie tak się nie stało, dla mnie jednak był to moment, by pozbyć się dwóch ostatnich wyrazów. Pozostała Media Rodzina i tak jest do dziś.

Może się to wydawać zaskakujące, ale według mnie język gambolski ma swoje źródło w niezwykłej osobowości pana Roberta. To jest język, jeśli tak można powiedzieć, empatii słownej. To heroiczne łączenie ognia

z wodą. Jakże wielką radość wywoływały u Boba neologizmy. Zamiast weekend mówmy „łykend”, a jeśli komuś słowo to kojarzy się nie bez racji z alkoholem, to niech będzie „sobdziela”. To co, że tego słowa nie ma w języku polskim – słyszałem wiele razy od Boba – ale teraz już jest! Radość tworzenia, radość pomagania to główne atrybuty jego osobowości.

Moje rozmowy z Bobem o języku prowadziły często do ważnych dla nas obu wniosków. On rozumujący zgodnie ze swoim duchowym powołaniem, że na początku było słowo, i ja powtarzający za Wittgensteinem, że język wyznacza granice naszego świata, poznania, że jeśli coś nie zostało nazwane, to nie istnieje. Że na tym polega twórczość, prawdziwa twórczość. Rozumieliśmy się doskonale. Lubiłem te rozmowy.

WIGILIA POD RONDEM

W programie Radia Obywatelskiego jedną z ważniejszych pozycji było czytanie książek. Tego należało się spodziewać. Czytane były nie tylko książki Media Rodziny, spośród których największą słuchalnością cieszyły się *Opowieści z Narnii* C.S. Lewisa. Szczególnym jednak wydarzeniem okazała się lektura powieści Małgorzaty Musierowicz *Noelka* adresowana do młodych czytelników. Jest w niej scena Wigilii bożonarodzeniowej, która ma miejsce pod głównym rondem Poznania – Kaponierą. Scena ta wywarła tak wielkie wrażenie na Bobie, że nie oglądając się na nic, postanowił z fikcji uczynić rzeczywistość. Bo to było to miejsce, gdzie mogli trafić wszyscy, zaproszeni i niezaproszeni, ci, co tylko przechodzili, i ci, co chcieli tu być. I tak też się stało. W zimowy grudniowy wieczór 1992 roku pod rondem Kaponiera odbyła się pierwsza Wigilia. Prawdziwa Wigilia. Potem były następne, bo wielu poznaniaków uznało, że warto tam pójść, spotkać się i śpiewać kolędy. Aż przyszedł moment, gdy zaczął się remont ronda, który trwał, trwał i trwał, aż... zainteresował się tym prokurator.

Przytaczam relację portalu pozn.naszemiasto.pl z ostatniej, a dokładnie zapowiedź ostatniej, dwudziestej Wigilii pod Rondem:

Pierwsze wigilijne spotkanie w największym poznańskim przejściu podziemnym zorganizowano w 1992 roku. Rok wcześniej pastor i wydawca Robert Gamble przeczytał powieść Małgorzaty Musierowicz Noelka. Powieściopisarka opisała w niej spotkanie poznaniaków pod rondem, którzy przychodzą tu przed pasterką, aby wspólnie zaśpiewać kolędy i przełamać się opłatkiem.

Gamble, Amerykanin szkocko-irlandzkiego pochodzenia, postanowił książkowy pomysł wcielić w życie.

– Pamiętam, że nasze pierwsze spotkanie było trochę chaotyczne, ale to dlatego, że było robione bardzo spontanicznie – mówi pastor. – Najważniejsze jednak jest to, że było piękne.

Spotkania pod Kaponierą szybko stały się stałym punktem świętowania narodzin Jezusa w stolicy Wielkopolski.

– Co roku pod rondem spotyka się od dwustu do trzystu osób – przypomina Marta Jankowiak z agencji Kończal-Szwarc. – Mamy nadzieję, że w tym roku będzie ich jeszcze więcej. Jest to taka impreza, o której już chyba każdy w mieście słyszał.

Długo nie było wiadomo, czy dwudziestą edycję uda się również zorganizować pod rondem. Jednak jak się okazało, robotnicy przebudowujący ulicę Roosevelta na razie nie pracują na samym rondzie, dlatego Zarząd Dróg Miejskich wydał zgodę na przygotowanie Wigilii właśnie tam.

W jej tegorocznym przebiegu niewiele się zmieni.

– Chcemy, żeby forma spotkania co roku była taka sama – wyjaśnia Marta Jankowiak. – Mieszkańcy się do niej przyzwyczaili i nikogo nie będziemy zaskakiwać. Nie zabraknie wspólnego kolędowania i dzielenia się radością.

Wigilia rozpocznie się o godzinie 21.30. Tradycyjnie w przejściu podziemnym staną dwie sceny – mała i duża. Na małej czytane będzie Pismo Święte – w różnych językach i przez duchownych różnych wyznań, a do tego ekumenicznego czytania będzie mógł dołączyć się każdy chętny. Na dużej kolędować będą poznańscy artyści, m.in. Hanna Banaszak, Małgorzata Ostrowska i Antosia Kocińska. Nie zabraknie też sportowców.

– Pod rondem znowu staną choinki, które подарują nam okoliczne nadleśnictwa – mówi Marta Jankowiak. – Będą prezenty, i to nie tylko dla najmłodszych. Mogę zapewnić, że nikt nie wyjdzie z Wigilii z pustymi rękoma.

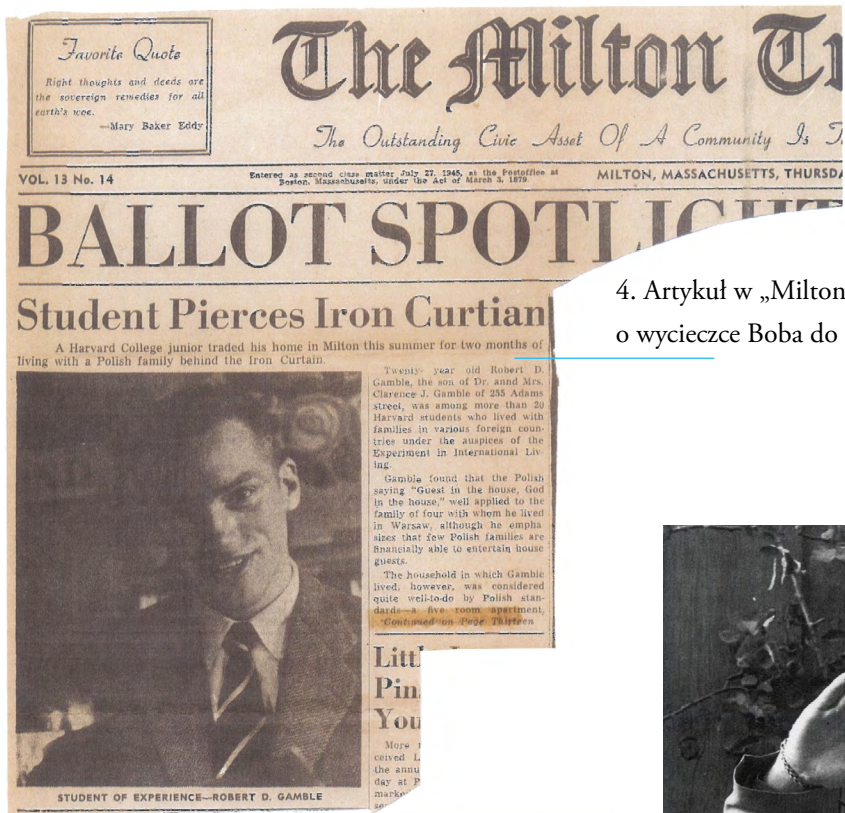
Wigilijne spotkanie pod Kaponierą tradycyjnie zakończy wspólne śpiewanie Cichej nocy w kilku językach. W ubiegłym roku kolędę śpiewano po polsku, niemiecku, angielsku, francusku, japońsku, chińsku oraz w nigeryjskim języku ibu.

– Spotkanie zakończy się do godziny 23, tak aby każdy mógł jeszcze zdążyć na pasterkę – wyjaśnia Robert Gamble.

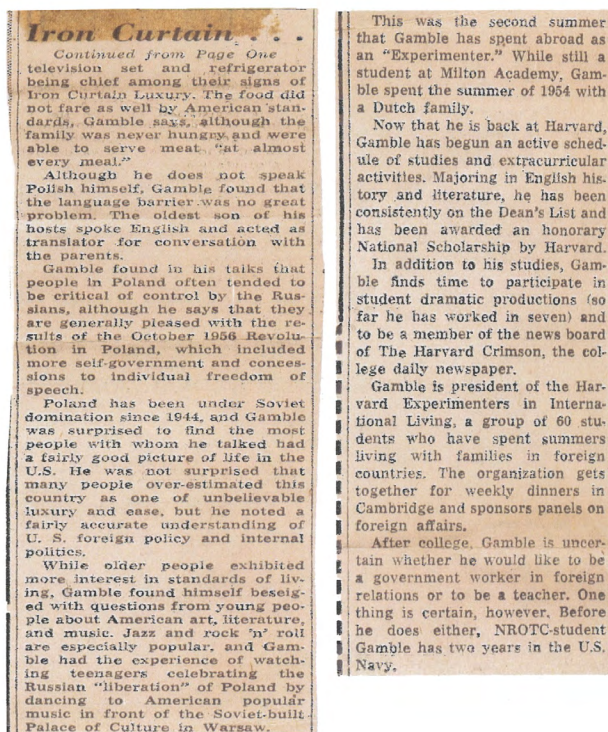
Dzisiaj Wigilii pod Rondem już nie ma. Tak sobie jednak myślę, że może to jest właściwe miejsce, gdzie mogłaby stać ławeczka z panem Robertem, na której można byłoby przysiąść i posłuchać, co mówi.

TORBA PEŁNA KSIĄŻEK

Największą jednak pasją Boba były książki. Zawsze wracał z Bostonu czy z Edynburga z ciężką torbą pełną książek. Jej rozpakowywanie trwało w wydawnictwie kilka dni. A w trakcie były zachwyty, ale też zdziwienia. Tyle że już wówczas docierało do nas, że Bob wyprzedza nas w diagnozowaniu rzeczywistości o parę okrażeń. Generalnie w tej torbie było dla każdego coś miłego. Dla dzieci amerykański Brzechwa, czyli Dr Seuss i seria jego książek, które na polski genialnie przełożył Stanisław Barańczak. Dla dorosłych książki wybitnego psychologa Martina Seligmana, w szczególności *Optymizmu można się nauczyć*. Bob twierdził – i nie bez racji – że optymizmu nam brakuje. Była też książka szefa policji nowojorskiej Bratona i poradnik dla naszej kielkującej samorządności *Rządzić inaczej*. Biedny premier Grzegorz Kołodko. Pamiętam, jak na majowych targach książki w Warszawie, wówczas jeszcze w Pałacu Kultury i Nauki, Bob postanowił wręczyć ją wizytującemu targi premierowi. Stał przed zbliżającym się orszakiem i machał nią w jego kierunku. Dodam tylko, że książka miała duży, z daleka widoczny tytuł. Premier, myśląc zapew-



4. Artykuł w „Milton Transcript”
o wycieczce Boba do Polski (1958).



5. Bob jako marines (1952).

ne, że to jakaś ustawka polityczna, z daleka już wołał: „My już rządzymy inaczej, już rządzymy inaczej...”. Przed zaskoczonym panem Robertem momentalnie wyrósł kordon „borowików”.

CZARODZIEJ

Jedna książka w torbie Boba była dość wyraźnie sfatygowana. Otrzymał ją od brata, a widać było na niej ślady kilku już lektur. To był *Harry Potter and Philosopher's Stone* J.K. Rowling. Od tego momentu zaczęła się w Media Rodzinie nowa era.

Dla Boba wydanie tej książki stało się absolutnym priorytetem. Myśle, że nie było w Polsce nikogo, kto mógłby mu w tym przeszkodzić. Decydowały o tym względy ideowe. Natomiast dla nas, pracowników wydawnictwa, nastąpił czas błyskawicznej edukacji zawodowej. Wtedy to zaczęły się krystalizować nasze poglądy na funkcjonowanie rynku książki, który według nas powinien podlegać stosownym regulacjom prawnym. Bob wspierał nas w walce z wolnoamerykanką, czyli takim funkcjonowaniem naszego biznesu, który nie przestrzegał żadnych norm. Najbardziej jednak pochłonęła go walka z antypotterową krucjatą. Kiedy pewnego dnia powiedziałem mu, że w Polsce nikt nie odważy się publicznie oskarżyć *Harry'ego Pottera* o satanizm, tak jak stało się to w Ameryce, Bob przyjął zakład (on postawił 100 dolarów, a ja 100 złotych). Parę miesięcy przed upływem terminu zakładu ksiądz proboszcz w jednej z wrocławskich parafii powiedział z ambony, że w *Harrym Potterze* zobaczył szatana. Zakład przegrałem. Parę lat później stało się jeszcze gorzej. Na dziedzińcu kościoła w Gdańsku ksiądz egzorcysta Rafał Jarosiewicz otoczony ministrantami spalił *Harry'ego Pottera*, co spotkało się na szczęście z ostrym protestem największych instytucji kulturalnych w Polsce.

Napisałem wyżej, że Bob wyprzedzał nas o parę okrażeń w diagnozowaniu rzeczywistości, szczególnie amerykańskiej. Był demokratą, prawdziwym demokratą. Jego idolem był Barack Obama, którego autobiografię *Odziedziczone marzenia* wydaliśmy na rok przed wyborem go

na prezydenta USA. Pamiętam, szukaliśmy politologów amerykańistów, aby pomogli nam przekonać czytelników do tej inicjatywy. Nie znaleźliśmy nikogo. Historia powtórzyła się dokładnie tak samo w przypadku Joe Bidena. Jego książkę *Obiecaj mi, tato* opublikowaliśmy również rok przed wyborem Joe Bidena na prezydenta Stanów. Tylko że tym razem nie pytaliśmy już nikogo o zdanie.

W uznaniu zasług dla polskiej kultury w roku 2015 Robert Gamble otrzymał odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej.

ZASŁUŻONY POZNANIAK

W 2016 roku w poznańskim Ratuszu na uroczystej sesji Rady Miasta Robert D. Gamble otrzymał tytuł Zasłużony dla Miasta Poznania. Odbierając okolicznościowy medal, powiedział: „Zawsze będę Amerykaninem z Bostonu, bostończykiem pochodzenia szkocko-irlandzkiego. Ale może od dzisiaj mogę myśleć o sobie, że jestem poznaniakiem”. Pytałem wielu, czy był taki drugi Amerykanin, ba! obcokrajowiec, który tyle zrobił dla Poznania? Od każdego otrzymywałem tę samą odpowiedź. Nie było!

Teraz, Panie Robercie, gdy spocząłeś w naszej poznańskiej ziemi, jesteś nie tylko wielkim bostończykiem, stałeś się również ważną częścią naszej historii.

W 2021 roku prezydent RP przyznał panu Robertowi D. Gamble’owi, już pośmiertnie, najwyższe odznaczenie, jakie może otrzymać w Polsce cudzoziemiec – Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.



Krystyna Adamczak

ŻYCIE JEST PODRÓŻĄ. Jesienią 2020 roku ziemską wędrówka Roberta Gamble’a dobiegła końca.

Na cmentarzu zegnało go grono przyjaciół i zespół wydawnictwa Media Rodzina, które powołał dla wydania książki *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły*. Książki, która była dla niego osobiście ważna – pomogła mu w byciu ojcem.

Nie myślał o wydawnictwie jako biznesie, bardziej jako o misji. Wydał tę książkę za własne pieniądze. Kosztowała symboliczną kwotę, tyle co bochenek chleba. Dobrze to pamiętam, bo sprzedawałam wtedy codziennie po 10-20 egzemplarzy.

Wszystko, co robił, było osobiste i nieosobiste zarazem.

Potrzebne, wspierające, dobre i pożyteczne dla wielu.

Obdarowywał książkami, bo wiedział, że nie można dać niczego lepszego. Nie miał wątpliwości, że książki nas zmieniają.

Jesteśmy tutaj po to, aby czytać.

Jesteśmy tutaj po to, aby wzrastać! Wierzył w siłę wyobraźni! Taki nadał tytuł konkursowi literackiemu na polską powieść dla młodzieży po sukcesie *Harry’ego Pottera*. Ożywił nim wielu twórców!

Inicjował premiery *Harry’ego Pottera* o najdziwniejszych porach: o świcie, o północy. Nawet zimą!

We wszystkich uczestniczył osobiście.

Chętnie rozmawiał z dziećmi po polsku i po angielsku.

Pozował do fotografii, dawał autografy, słuchał dzieci i odpowiadał na wszystkie pytania.

Interesował się polską kulturą i literaturą. Przyszedł do księgarni na spotkanie z pisarką Dorotą Terakowską w 2003 roku.

Z książkami wydawnictwa Media Rodzina rosło pokolenie Polaków, bo były to książki dla każdego. Maluszka, przedszkolaka, młodzieńca i dorosłego.

Media Rodzina, bo myślał o swoim zespole jak o rodzinie.

Pamiętał o imieninach, o dzieciach, o rocznicach, ważnych życiowych wydarzeniach każdego członka zespołu.

Kupował dla nich prezenty na święta. Ostatnio zamawiał u mnie książki na Boże Narodzenie już w maju...

Miał czułe ucho i wrażliwe serce. Gdzie się pojawiał, zasiewał dobro. Z tych nasion wyrosną plony, bo dobro otrzymane, zawsze jest oddane – często w inne ręce.

Największą rzeczą, jakiej dokonujemy na tym świecie, jest widzenie piękna, ale także potrzeb innych ludzi. Pan Robert miał na nich wzrok szczególnie wyostrzony. Widział bezdomnych, głodnych, uzależnionych, odrzuconych, wykluczonych... Patrzył na nich czule, w każdym widząc godność człowieka, niewinność dziecka.

Wibrował szczęściem, jeśli mógł nakarmić, podać rękę, zasiąść z bezdomnym przy stole.

Nie był uzależniony od stanu posiadania.

Jeździł pociągiem, drugą klasą, do mieszkania na Winogradach – tramwajem. Wędrował po tym świecie ścieżką rzadziej uczęszczaną przez elitę świata.

Wybrał sobie Poznań i zaprawdę Robert Gamble był osobowością tego miasta, tego państwa, tego świata.



Aleksandra Banasiak

ŚWIAT JEST CIEKAWY, spotykamy bowiem na swej drodze różnych ludzi. Żyję już sporo lat i w Poznaniu udało mi się poznać człowieka przez wielkie „C”. Mówię o Robercie Gamble’u. Przy kolejnych z nim kontaktach dochodziłam też do przekonania, że to ktoś prawdziwie wielki i niezwykle. Ten człowiek, skromny pastor przybyły z Ameryki, działał u nas jako ktoś po prostu zwyczajnie pomagający ludziom. Nie spotkałam przedtem nikogo o takiej wrażliwości na potrzeby ludzi biednych, często pokrzywdzonych przez życie. Był znany w środowisku Poznania. To on po raz pierwszy zorganizował Wigilię pod Rondem dla bezdomnych.

Dzięki jego staraniom powstała oficyna wydawnicza Media Rodzina. Bob był też inicjatorem Radia Obywatelskiego mającego swą siedzibę u Cegielskiego. Właśnie tam go poznałam, jak przeprowadzał ze mną rozmowę o wydarzeniach Poznańskiego Czerwca 1956 roku.

Bardzo szybko idea Czerwca stała się bliska jego sercu. Wpisał się do Stowarzyszenia „Poznański Czerwiec ’56” i był jego członkiem do końca swego życia. Każdego 28 czerwca można go było spotkać przy bramie

Cegielskiego już o 6.00 rano, kiedy to inaugurowano coroczne obchody. Uczestniczył też w zebraniach Stowarzyszenia, pomagając rozwiązywać nasze problemy.

W ostatnich latach, gdy zdrowie pana Roberta zaczynało szwankować, jego wiernym opiekunem był Waldek Matyja. Drogi Waldku, dziękujemy ci za twoją troskę. Ty też umiesz wykazać życzliwość i wrodzoną wrażliwość, toteż możemy cię nazwać duchowym spadkobiercą zmarłego Roberta Gamble’a.

Jestem przekonana, że dobro świadczone przez Drogiego Zmarłego oświeć będzie naszą drogę, będzie budzić w nas odruchy dobroci w stosunku do bliźnich, a przede wszystkim wzbogacać nas wewnątrz.



Halina Bogusz

MINĘŁO JUŻ PRZESZŁO TRZYDZIEŚCI LAT, ale pani Ania Głowacka, wieloletnia oddziałowa hospicjum Palium, obecnie naczelnia pielęgniarka Szpitala Przemienienia Pańskiego, pamięta żywo. Oto jej relacja:

Sam pan Gamble prowadził mnie korytarzami do studia radiowego. Wystąpienia w imieniu i na rzecz hospicjum nie były dla mnie czymś niezwykłym. Istnieje jednak magia medialnego świata, która osoby z nim niezwiązane nieco onieśmiela. Tak i ja się wtedy czułam. To była audycja z telefonicznym udziałem słuchaczy: wiele telefonów. Nie byliśmy wtedy jeszcze tak znani jak dziś. Ludzie chcieli się dowiedzieć wszystkiego – jak opiekować się swoimi bliskimi, na jaką pomoc mogą liczyć ze strony hospicjum czy obawiać się eutanazji. Niektórzy dzwonili, by podzielić się swoim lękiem, a nawet wyładować agresję.

Gościem tego studia na Wildzie bywał też sam profesor Jacek Łuczak. Przyjeżdżał zwykle o północy, by wziąć udział w audycji „Rozmowy nocą”. To zupełnie inny rodzaj rozmówców. To często ci, którzy w dzień nie mają czasu na spokojną rozmowę. Siedzieli wtedy razem z Rober-



6. W Radiu Obywatelskim (1992).



7. Przy mikrofonie (1992).

tem pochyleni nad radiową konsolą jakby nad chorym człowiekiem. Tajemnica cierpienia zanurzona w tajemnicy nocy. Dwóch odkrywców ludzkich losów, wizjonerów, którzy chcieli prowadzić jednych ludzi ku drugim: tych chcących pomagać ku tym na pomoc czekającym.

Robert Gamble i Jacek Łuczak musieli się spotkać. Zbyt wiele mieli wspólnych celów. Zbyt wielka była w nich potrzeba pomagania innym i gromadzenia ludzi chcących działać razem.

Kiedy doszło do ich pierwszego spotkania – nie udało mi się już ustalić. Wiadomo było, że antena Radia Obywatelskiego służyła również popularyzowaniu tematu hospicyjnej pomocy umierającym i nieuleczalnie chorym. Znana jest także historia kilku wspólnych kolacji na Starym Rynku, spacerów wąskimi uliczkami Starego Miasta, wzajemnego udziału w organizowanych przedsięwzięciach. Jacek Łuczak – jak tylu innych – był uczestnikiem Wigilii pod Rondem.

Robert Gamble posadził z Jackiem Łuczakiem drzewo w hospicyjnym ogrodzie. Mały platan miał rosnąć przez wieki, dając schronienie w swoim cieniu i świadectwo czasom swego początku. Czy tak myślał, sadząc go?

Znajomość Jacka i Roberta oraz bliskość celów spowodowała, że choć nie spotykali się często, byli przyjaciółmi i wiedzieli, że mogą na siebie nawzajem liczyć.

Najważniejszym bodaj materialnym wyrazem ich współpracy była działalność wydawnicza. Książki Elisabeth Kübler-Ross czy poezje Joanny Drazby nie są powieściami o Harrym Potterze. Na nich się nie zarabia – a jednak nie da się przecenić ich wartości dla osób zainteresowanych, dla lekarzy i studentów medycyny, wolontariuszy i opiekunów.

Rozmowy o śmierci i umieraniu Elisabeth Kübler-Ross były pierwszym wydaniem w Polsce podręcznikiem tanatologii. Te i następne podręczniki bez dyskusji i bez zbędnego pytania o źródła finansowania wydawało wydawnictwo Media Rodzina, a pan profesor Jacek Łuczak wręczał z uśmiechem każdemu, dla którego – jak uważał – były lekturą obowiązkową.

Czy widzieliście mały platan? Niepewny, cieniutki pień i kilka listków. Wyrośnie na wielkie drzewo, które jeszcze po wielu dziesiątkach lat będzie opowiadało o tych, którzy je zasadzili. Robert Gamble i Jacek Łuczak razem zasadzili małeńkie drzewo, które miało się rozrosnąć w hospicyjnym ogrodzie. Życie jednak pisze niespodziewane scenariusze i czasami o jego kształcie decydują ci, którzy przychodzą dostosować wyśnioną rzeczywistość do przepisów. Także w hospicjum miejsce przeznaczone na ogród i szumiące drzewa zostało zawłaszczone przez wykonawców przepisów. Wielkie buldożery wyrównujące teren nie zauważyły małego drzewka? A może jednak ktoś je przedtem przesadził w inne miejsce ogrodu?

Może – ale to już nieważne. Ważniejsze jest przecież, że dzieło, które powstało dzięki wizji i determinacji Jacka Łuczaka oraz w harmonii z wizją Roberta Gamble’a i dzięki jego pomocy, trwa do dzisiaj i samo jest jak szumiące drzewo ich pamięci. Opowieści, które szeptałyby platanowe liście, szepcą sobie poznaniacy – o tym, co przeżywali w dniach, kiedy profesor nauczył ich towarzyszyć cierpieniu bliskich i jak, dzięki książkom, lepiej zrozumieli lekcje swojego życia.



Maria Bosacka

PAN ROBERT NALEŻAŁ DO TYCH OSÓB, o których się myśli, że będą zawsze.

Przynajmniej w wydawnictwie – w swoim pokoju, przy komputerze, na poniedziałkowym zebraniu, podczas spotkań wigilijnych, kiedy dzieliliśmy się opłatkiem i śpiewaliśmy w różnych językach *Cichą noc*. Albo na targach książki. Albo na obiedzie w Święto Dziękczynienia. To ostatnie spędziliśmy już z nim na cmentarzu wpatrzeni w niewielką urnę. Uderzyła mnie ta smutna myśl: to tyle z niego zostało? Garstka prochów w ozdobnym flaconie?

Ale przecież to nie wszystko. Pozostało coś bardzo cennego – nasza pamięć o nim.

Wywołuję więc z pamięci jedno z najmielszych wspomnień związanych z panem Robertem.

Zaczynał się właśnie boom związany z *Harrym Potterem*, który spadł na wydawnictwo dwadzieścia lat temu i odmienił je na zawsze. Że zawdzięczamy to panu Robertowi, już chyba nie trzeba przypominać. Powstał właśnie pierwszy film Potterowy, *Kamień filozoficzny*, a nasz pryncypał



8. W rozmowie z redaktorką Radia Obywatelskiego Bożeną Plotą (1992).



9. Na pikniku nad Maltą ze słuchaczami Radia Obywatelskiego (1993).

wymyślił, że zbierze ekipę i polecimy go obejrzeć aż do Edynburga! Powodów miał kilka, a jednym z nich był fakt, że w Edynburgu mieszkała sama J.K. Rowling (zresztą mieszka tam do dziś). Mieliśmy cichą nadzieję, że ją spotkamy. I to się ziściło – widzieliśmy się z nią na terenie parafii, w której wcześniej jako nikomu nieznana samotna matka pracowała w charakterze sekretarki. Była miła, jakby trochę onieśmielona, przyszła w towarzystwie siostry i córki Jessiki – tej, z którą w wózku przesiadywała w kawiarniach, pisząc pierwsze tomy Potterowej sagi. Spotkanie było emocjonujące, nie wierzyliśmy własnemu szczęściu. A potem ruszyliśmy w to pięknie położone miasto, żeby oglądać górujący nad nim zamek, ulice z urokliwymi butikami, kobziarzy, chłonąć cały ten szkocki klimat. Pan Robert czuł się w Edynburgu jak ryba w wodzie – zawsze przecież powtarzał, że jest „Amerykaninem szkocko-irlandzkiego pochodzenia”, a na uroczyste okazje ubierał się w szkocki kilt i bardzo to do niego pasowało.

Podczas tego wyjazdu byliśmy pod opieką pana Roberta. Myślał o komforcie każdego z nas. Taki już był, wiecznie kimś zajęty i w coś zaangażowany. I takie też znajdował książki – począwszy od tej pierwszej, założycielskiej, *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały*..., a skończywszy na ostatniej *Rozmowy z pedofilem* – wszystkie były książkami z przesłaniem, z misją. W moc ich oddziaływania wierzą pewnie tylko szlachetni idealiści, w końcu każda książka może prędzej czy później wylądować na strychu, no ale pan Robert tej wiary nigdy nie tracił.

Tak jak uwierzył w *Harry'ego Pottera*. A my z nim. Tyle razy brocił *Pottera* przed różnej maści fanatykami. Nie podpierał się przy tym swoim autorytetem duchownego – mówił zawsze o sile wyobraźni, najważniejszej, przemieniającej nas sile, przy której błędnie wszystko, także magia.

Bardzo brak pana Roberta szczególnie teraz – kiedy wygrał Joe Biden, któremu gorąco kibicował – i tyle się dzieje w Stanach. W tych dniach bardzo chciałoby się z nim porozmawiać, podyskutować, poznać jego punkt widzenia na sprawy Ameryki i pośrednio – całego świata.

Jakiś czas temu zginął mi jeden z tych małych szwajcarskich scyzoryków, które pan Robert lubił nam dawać w podarunku na Boże Narodzenie. Nie zmartwiłam się wtedy specjalnie, pomyślałam, że jeszcze kiedyś taki scyzoryk dostanę. Ale nie dostanę... I nie będzie już spotkania w Święto Dziękczynienia. Ale to dzięki panu Robertowi i celebrowaniu tego szczególnego dnia, nauczyliśmy się dostrzegać, jak wiele mamy w życiu powodów do wdzięczności.

Oprócz pamięci niech więc naszym myślom o panu Robercie towarzyszy wdzięczność.



Rev. David Brown

DLA MNIE OJCIEC BOB BYŁ WSPANIAŁYM PRZYJACIELEM, pastorem i księdzem.

W roku 2014 zostałem kapłanem Kościoła Anglikańskiego w Polsce. Wcześniej przez kilkanaście lat tę funkcję pełnił ojciec Bob, który podróżował z Poznania do Warszawy w sobotnie wieczory, wracał w niedzielne popołudnia. To były trudne czasy dla parafii, ale Boba determinacja i poświęcenie sprawiły, że wszystko należycie funkcjonowało. Przez tych kilka lat rozmawiałem z Bobem telefonicznie niemal codziennie. Zawsze okazywał zainteresowanie, troskę i wsparcie. Cieszyło go, że może odprawiać msze i wygłaszać kazania, ale interesowała go przede wszystkim rozmowa o wierze. Lubiał pomagać innym w ich drodze do wiary. Był szeroko znany ze swojej dobroci i gościnności.

Są dwie rzeczy, dla których zapamiętam Boba najbardziej.

Pierwszą jest siła ducha, jaką wykazywał w ostatnich dwóch-trzech latach swojego życia. To był okres, kiedy jego wiara i głębokie przekonanie ujawniły się najbardziej. Zawsze był człowiekiem aktywnym i zaangażowanym.

gażowanym, a uświadomienie sobie, że nie jest już w stanie podróżować i służyć innym tak jak dotychczas, wymagało wielkiego hartu ducha. Bob zaakceptował swoje ograniczenia i zbliżający się koniec z ufną pewnością człowieka, który ma w sobie głęboką wiarę chrześcijańską, a obok siebie kolegów z pracy, przyjaciół i rodzinę.

Drugą rzeczą, która mi zaimponowała od pierwszego z nim spotkania, była jego umiejętność akceptowania ludzi bez osądzania ich. Mówimy często, że każdy człowiek został stworzony na podobieństwo Boga, i jeśli w to wierzymy, wówczas nasza wiara nas ocali. Bob zawsze szukał dobra w każdym człowieku, i nawet jeśli doznał rozczarowania, przebaczał i robił wszystko, by naprawić nadwątloną więź.

Bob wzbogacił moje życie i zawsze będę czuł wdzięczność za to, że go poznałem.

Jego współpracownicy, rodzina i przyjaciele pozostaną na zawsze w moich myślach i modlitwach. Jestem głęboko przekonany, że Bob zaznaje teraz spokoju w bliskiej obecności Boga.



Nikodem Brzózy OP

PROPOZYCJA NAPISANIA WSPOMNIEŃ o Bobie od razu wzbudziła mój entuzjazm. Nie potrzebowałem motywacji. Działały jakieś fluidy, nawet po śmierci Bob inspirował. Nic w tym dziwnego, bo przecież za życia motywował do działania tylu ludzi. Zacząłem przywoływać w pamięci jego osobę i nagle znalazłem się jakby pod rozświetlonym firmamentem wspomnień. Poczułem się jak skryba z bajki, który w świetle gwiazd zapisuje księgę życia. Gdybym był młodszy, to napisałbym, że poczułem się jak Harry Potter. Każda myśl, każdy obraz z przeszłości zapaliły w moim umyśle tysiące światełek. Znajdowałem w sobie jasność myśli, jakiś głęboki porządek serca i potrzebę ubrania w słowa przywoływanych treści. Skąd to światło? To Bob! To on duchowo promieniował. Jestem o tym przekonany.

Wcześniej, ilekroć go spotykałem, w jego oczach – starego już człowieka – było tyle blasku, że to światło przenikało również we mnie. Był człowiekiem, jak to się mówi, prostym w obsłudze, czyli bezpretensjonalnym. Kiedy mnie spotkał, a był ode mnie starszy prawie trzydzieści lat, powiedział: „Mów mi Bob”, uśmiechnął się i podał rękę.



10. W rozmowie z dr Ewą Woydyłło-Osiatyńską (1999).

11. W 1999 r. Bob otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. W środku prof. dr Wiktor Osiatyński, po lewej: dr Bohdan Woronowicz.



Bob był stuprocentowym człowiekiem Zachodu, Amerykaninem z Bostonu i Englishmenem, osobą racjonalną. Sądzę, że bycie racjonalnym nie polega jedynie na zdolności myślenia, ale w równym stopniu na wierze w skuteczność rozumowania i siłę intelektu. Stąd się chyba bierze odwaga myślenia. Mam wrażenie, że ludzie w Europie Wschodniej, w tym i w Polsce, choć są zdolni, to brakuje im tej intelektualnej wiary i odwagi. Pewnie dramatyczna historia naszego rejonu świata jest jak kleszcze. Nieudane próby wyrwania się z ich uścisku mogą być przyczyną niewiary w skuteczność rozumowania. Stąd być może ta nasza apatia i problemy z intelektualną kreatywnością.

Bob był człowiekiem, który miał wizję życia. Dlatego został duchownym anglikańskim i założył wydawnictwo. Wydawał książki, bo chciał się nimi podzielić z innymi. Był i marzycielem, i realistą. Harmonijnie i twórczo te przeciwieństwa w sobie łączył. Jego spojrzenie, szeroko otwarte oczy i zapatrzenie dawały rozmówcy przekonanie, że jest on człowiekiem, który jak dziecko marzy o lepszym świecie. Przemyślany sposób działania dowodził jego realizmu. Synteza tych dwóch czynników czyniła go pięknym i kreatywnym.

HARRY POTTER

Gdzieś około roku 2000 Robert Gamble zaprosił mnie do kawiarni na Starym Mieście w Poznaniu. O ile pamiętam, było to na ulicy Wielkiej. Miała się tam odbyć promocja polskiego wydania *Harry'ego Pottera*. W czasie dyskusji przy kawiarnianym stoliku miałem się odnieść do listy oskarżeń, jakie ultraprawicowe środowiska katolickie wysuwały wobec tej książki. Lista była długa. Zarzuty miały charakter moralny i religijny. Krytycy książki uważali, że wprowadzanie jej na polski rynek oznacza propagowanie magii, ezoteryki i New Age. Każde czasy mają swoje strachy. Dziś mamy gender, wtedy Erę Wodnika. Niektóre z formułowanych tez były żenujące i absurdalne. Znajdowały jednak uznanie w części środowiska katolickiego. To nie były wątpliwości wobec lek-

tury, to był samosąd wywołany lękiem i agresją. Wydawca miał zatem nie lada problem – musiał się z nimi zmierzyć i odnieść się do sprawy. W innym wypadku wydawnictwu groziłby bojkot i pogróżki. Atmosfera wokół książki była jak w wiekach ciemnych (tak nazywa się X wiek w początkach średniowiecza). Gdyby obowiązywało prawo tamtych czasów, Robert Gamble zostałby niechybnie spalony na stosie wraz ze współpracownikami. Do płomieni wrzucano by *Harry'ego Pottera*, a może i inne książki z wydawniczej półki.

Nie pamiętam, co dokładnie wtedy powiedziałem w obronie książki i Roberta. Pewnie to, co i teraz myślę na ten temat. Sądzę, że tego rodzaju lęki przed magią wynikają nie tyle z autentycznego zagrożenia, ile raczej z magicznego myślenia tych, którzy się boją. Jeżeli ktoś się panicznie lęka powszechnego uzależnienia od magii, najprawdopodobniej oznacza to, że to on sam ma problem. Pewnie boi się także zabawy horoskopem jak i siedzenia w pozycji lotosu i głębokich oddechów. Może budzą w nim strach własne sny, a kto wie, czy nie także zakonnice na przejściu dla pieszych i czarne koty. Im dłużej jestem spowiednikiem, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że w Kościele istnieje niemały odsetek ludzi, którzy z przyczyn lękowych widzą moralne zagrożenie w zwykłych rzeczach i prostych wydarzeniach. Są to osoby o osobowości paranoidalnej. Nie kpię i nie etykietuję. Raczej nazywam rzeczy po imieniu. Ludzie z takimi problemami, jeśli są politykami, to w dążeniu do społecznego porządku mają zwyczaj uciekania się do represji. Wolności własnej i bliźnich się boją, bo uważają ją za jedną z przyczyn deprawacji. W swoim życiu prywatnym są albo neurotykami siedzącymi w „kryjówkach”, albo hipokrytami. Strach nie jest cnotą, więc możliwości są dwie: ucieczka od wolności i autorepresja albo podwójne życie. Jeśli zaś są duchownymi, to ich przepowiadanie wiary staje się źródłem ludzkich nerwic. Zamiast uczenia się wolności proponują coś, co jeden z filozofów nazwał auto-sublimacją represyjną.

Śmiało mogę powiedzieć, że Robert nie należał do duchownych, którzy boją się własnego cienia, natomiast na polityków, którzy z powodu

uogólnionego lęku przed ludźmi gotowi są uprawiać propagandę i stosować przemoc, nie głosował. Być może dlatego wołał demokratów, a nie Trumpa i republikanów. Jego patrzenie na świat nie było zdeformowane nerwicą i magicznym myśleniem. Robert w Ewangelii widział zachętę do szukania dobra, a nie do tropienia zła i zagrożeń.

Kiedy na początku tego stulecia mieszkalem w Paryżu, widziałem przed kinem Gaumont Grand Ecran ogromną kolejkę. Stali młodzi, dzieci, osoby dorosłe, nawet eleganckie starsze panie czytające „Paris Match”. Teraz myślę, że Robert miał wycucie czasu, znał kulturę i się w nią aktywnie włączał. Dla tych osób z kolejki *Harry Potter* był książką, która wyrażała ludzkie pragnienie metafizyki i lepszego świata.

WIARA A NIE IDEOLOGIA

Robert Gamble był uważnym obserwatorem życia społecznego i religijnego w Polsce. Przyjechał tu z zewnątrz, z innego kraju. Dlatego jego punkt widzenia był cenny dla nas, którzyśmy go znali. Bob bowiem widział rzeczy z trochę innej perspektywy niż my uwikłani w sobie z naszym polskim przedrozumieniem świata. Mimo że w Polsce mieszkał długo, nie stroniąc od ludzi, żyjąc intensywnie i oddychając polskim powietrzem, zachował swój odrębny punkt widzenia. Przyswajając sobie polskość, nie stracił własnej tożsamości. Jego amerykański świat nie uległ entropii, a osobowość nie podlegała dysocjacji. Zachował entuzjazm i optymizm, o jaki u nas trudno. W Polsce nie brakuje pesymistów i malkontentów, ale i hurraoptymistów, co z motyką rzucają się na słońce. Nie brak też „Napoleonów” z kompleksem niższości. Ich stanem umysłu jest wojna wszystkich ze wszystkimi. Bob nie wywoływał wojen ze światem, lecz szukał pojednania. Był realistą i człowiekiem dialogu. Przeżywając z nami nasze polskie kryzysy, nie poddawał się, choć nieraz był bardzo rozczarowany. Śnił amerykański sen o Polsce, w której szanuje się ludzką wolność. Wolność była dla niego początkiem Ewangelii. Bez niej człowiek nie ma moralnego mandatu do przepowiadania.



12. W 1993 r. „Dziennik Poznański” przyznał Bobowi medal Wielkopolanina Roku.



13 Bob laureatem statuetki Hipolita Cegielskiego (1999).

Robert bardzo był przejęty losem ofiar przemocy seksualnej w Kościele. Miał głęboką świadomość tego problemu. Jako osoba empatyczna, pełna miłosierdzia, szukająca prawdy i sprawiedliwości, angażował się w przyswajanie tego tematu w Polsce. Ważną książką, którą wydał, był *Zgwałcony* – świadectwo Raymonda M. Douglasa. Promując książkę, wydawnictwo Media Rodzina zorganizowało panel dyskusyjny na temat pedofilii w Kościele. Wzięli w nim udział między innymi pani profesor Maria Beisert – seksuolożka, przedstawiciel fundacji „Nie lękajcie się” oraz ja. To był ważny głos, który miał się przebić do opinii publicznej oraz do polskich biskupów. Robert był zdenerwowany i zażenowany niejedną głupią i kompletnie nieewangeliczną wypowiedzią przedstawicieli Kościoła. Nie poddawał się, działał, nie obrażał się, lecz próbował ich uświadamiać i zmieniać. Wierzył, że to możliwe. Ubolewał też nad polskim autokratycznym klerykalizmem. Nad stosowaniem przemocy nie tylko wobec świeckich, ale i wobec siebie nawzajem. Zrobił na nim wrażenie film *Kler*, dlatego zaprosił gości, w tym i mnie, do kina. Kupił bilety, a potem rozmawiał, pytał, zachęcał do inicjatywy.

POŻEGNANIE

Pogrzeb Boba był piękny i niezwykle. Przyjechał pastor anglikański, byli przedstawiciele miasta, współpracownicy oraz przyjaciele, było również trzech dominikanów, w tym i ja. Przybył też pododdział honorowy Wojska Polskiego oraz orkiestra reprezentacyjna Sił Powietrznych z Poznania. To był szary listopadowy dzień, drzewa przypominały czarne rozczapierzone kleksy atramentu. Na ich konarach z trudem można było dostrzec ptaki, które na wiosnę dają tu muzyczne koncerty. Za to powietrze przeciął złoty dźwięk trąbki, odegrano też amerykański hymn. Jak bardzo Bob musiał kochać Polskę, skoro zdecydował się być pochowany tak daleko od rodzinnego Bostonu. Urnę z jego prochami złożono w Alei Zasłużonych na zalesionym poznańskim cmentarzu. Obranie tego miejsca jest wyrazem jakiegoś rodzaju lojalności Roberta wobec przyjaciół,

z którymi realizował swoją wizję jednania ludzi ze sobą i z Bogiem poprzez słowo i dialog.

Kiedy umieszczano urnę w grobie, pomyślałem, że wygląda to jak sadzenie zielonego drzewka w alei sprawiedliwych. Urna to jakby sadzonka nowego drzewa, które zapuści korzenie w nowej czasoprzestrzeni. Tam, gdzie czas wychodzi poza miary, którymi tu, na tej ziemi, go odmierzamy. Potem przypomniał mi się święty Paweł z Tarsu, który powiada, że chrzest zostawia w naszym ciele zadatek życia wiecznego. Bob nie tylko był ochrzczony, ale był również duchownym. Jego ciało i duszę obmyły i przeniknęły wody chrztu. Zostały namaszczone obecnością Ducha Świętego. Robert jako duchowny anglikański dotykał tajemnic Chrystusa. W momencie swojej śmierci powierzył Mu się całkowicie.

Kiedy dzisiaj wspominam tego wspaniałego człowieka, doświadczam pokoju. Dotykam misterium wiary i nadziei pewnego Amerykanina z Bostonu, do którego mówiono Bob.



Piotr Dobrołęcki

GDY 7 STYCZNIA 2021 ROKU, dzień po dramatycznych scenach na waszyngtońskim Kapitolu, słuchałem historycznego wystąpienia amerykańskiego prezydenta-elekta Joe Bidena, przypomniałem sobie, kiedy ostatni raz widziałem Boba Gamble'a.

Było to niemal rok wcześniej, w Poznaniu oczywiście, na początku marca, na poznańskich targach książki, ostatniej imprezie targowej, jaka odbyła się przed ogłoszeniem obostrzeń w związku z pandemią. Kiedy wszedłem na stoisko Media Rodziny i przywitałem się ze wszystkimi, Bob odwrócił się i zrobił dwa kroki w stronę półki z książkami. Sięgnął po jedną z nich i zwrócił się do mnie, mówiąc: „To mój prezydent”. Była to książka Joe Bidena zatytułowana *Obiecaj mi, tato. Rok z życia wiceprezydenta USA*, która ukazała się w poprzednim roku nakładem Media Rodziny w przekładzie Krzysztofa Puławskiego.

Dwa miesiące wcześniej, 9 stycznia, widzieliśmy się na pamiętnym benefisie Bronka Kledzika z okazji jubileuszu 50-lecia jego pracy zawodowej, w kameralnym gronie przyjaciół zaproszonych na kolację do Sali Expo Concordia Design w Poznaniu, w przestrzeni której kiedyś była

drukarnia prasowa, co nadawało temu spotkaniu szczególnego wydźwięku. Wtedy szacowny jubilat serdecznie dziękował Robertowi Gamble'owi słowami: „Nie byłoby Boba, nie byłoby Media Rodziny. I nie byłoby naszej historii”. Bob promieniował szczęściem. Twórca i wieloletni prezes wydawnictwa przyznał wówczas, że „ukradził” Bronka z Wydawnictwa Poznańskiego. Dobrze zapamiętałem jego radość, gdy wspominał ich wspólne lata.

Fascynujący zyciorys Boba jest dobrze znany jego przyjaciółom, którzy bliżej niego byli od mnie i z pewnością dokładniej go przedstawiają. Mnie, a myślę, że też wiele innych bliskich mi osób, postać Boba zadziwiała i imponowała. Był jak Bob Budowniczy, bohater brytyjskiego animowanego serialu telewizyjnego, tworzył i budował.

Pierwszą inicjatywą Boba, z jaką się zetknąłem jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, było Radio Obywatelskie w Poznaniu. Nie wiedziałem wtedy, że było to jego dzieło, i wcale go nie spotkałem, bo trafiłem tam tylko raz, zaproszony do programu przez Zbinię Nowodworską. Była twórczynią innej pionierskiej poznańskiej inicjatywy, jaką było Biuro Marketingowe Megaron, i wymyśliła „Biuletyn Nowości Wydawniczych Megaron”, pierwszy w Polsce przegląd nowych książek na poziomie europejskim, a przecież wtedy na różne sposoby dołączaliśmy do tej prawdziwej Europy. Zbinia miała wówczas w Radiu Obywatelskim stałe miejsce, a ja poczułem się bardzo zaszczycony, gdy zobaczyłem, dokąd mnie zaproszono i co wówczas znaczyło w Poznaniu to radio.

Wkrótce potem zwróciłem uwagę na poznańskie wydawnictwo o dziwnej wówczas nazwie Media Rodzina of Poznań, którą po kilku latach skrócono do Media Rodzina, ale o tym, skąd to się wzięło i jak to było, najlepiej wie Bronek Kledzik.

Potem pamiętam już jubileusze Media Rodziny, na których Bob występował w kraciestej spódnicy i tłumaczył, że jest „bostończykiem szkocko-irlandzkiego pochodzenia”. Podziwiałem jego wysiłki, aby opanować nasz język, z czym sobie nieźle dawał radę, a jak nie dawał, to też go rozumieliśmy. Zawsze jego wystąpienia były przesłaniami, które

przemawiały do słuchaczy, bo umiał przemawiać. Był przecież księdzem anglikańskim, i to księdzem, który wierzył! Wiedzieliśmy to! Zawsze zachowywał niezwykle powściągliwość i mieliśmy przeświadczenie, że szanuje każdego swojego rozmówcę.

Był przy tym niezwykle skromny, nigdy nie pozwalał sobie na luksusy, a przecież wiedzieliśmy, że pochodził z bogatej rodziny. Jego poczucie oszczędności było tematem wielu anegdot. Zapamiętałem opowieść, jak nocnym pociągiem wybrał się z Bronkiem z Poznania do odległego Olsztyna, co nie należało do wygodnych sposobów podróżowania, aby w drukarni OZGraf uzgodnić warunki druku jego największego best-selleru, czyli kolejnego tomu przygód *Harry'ego Pottera*. Nie wyobrażał sobie, że można wynająć taksówkę na tak długą podróż. Ryszard Maćkowiak, ówczesny prezes drukarni, powiedział mi, że mu się tak bardzo żal zrobiło tych dwóch starszych panów, którzy znowu mieli wracać nocnym pociągiem, że polecił zawieźć ich do Poznania samochodem drukarni. Sam też doświadczyłem tej cechy Boba, gdy zobaczyłem go, jak w Warszawie jedzie tramwajem, bo przecież taksówki nie wchodziły u niego w grę.

Największa wydawnicza przygoda Boba i Media Rodziny, czyli wydanie cyklu o Harrym Potterze z wielkimi akcjami promocyjnymi wokół tego tytułu, jest lepiej opowiedziana i opisana przez naszych przyjaciół z wydawnictwa. Mnie zostanie zawsze w pamięci opowieść Boba, jak zaprzyjaźnionemu szkockiemu pastrowi zawdzięcza zaproszenie na herbatę z J.K. Rowling, w wyniku czego uzyskał prawo zakupu praw autorskich do tego światowego bestsellera.

I jeszcze jedno radosne wspomnienie. W marcu 2015 roku Robert Gamble został uhonorowany bardzo ważną Nagrodą Pegazika podczas XIV Poznańskich Spotkań Targowych – Książka dla Dzieci i Młodzieży, jednym z najważniejszych wyróżnień dla wydawców promujących literaturę dla dzieci i młodzieży. Nagrodę tę wymyśliła Olcha Sikorska, twórczyni tych targów i wielka promotorka literatury dla najmłodszych. Widziałem ich – Olchy i Boba – wielką radość podczas tej uroczystości.

Napisałem wtedy, że „Robert Gamble, założyciel i prezes poznańskiego wydawnictwa Media Rodzina, a także inicjator wielu pożytecznych działań w sferze edukacji i wychowania, prezentował się znakomicie ubrany w elegancką marynarkę i... spódniczkę, czyli kilt, aby w ten sposób zaakcentować swoje szkocko-irlandzkie pochodzenie”.

Nie ma wątpliwości, że Robert Gamble był jednym z najważniejszych – polskich oczywiście, dzięki jego życiowemu wyborowi – wydawców w minionym 30-leciu. Tandem, jaki stworzyli z Bronkiem Kledzikiem, trudno znaleźć w innych wydawnictwach, chociaż przypomina mi się jeden podobny przypadek, gdy Andrzej Adamus i Jan Stolarczyk kierowali Wydawnictwem Dolnośląskim w jego najlepszych latach. Ale kto to jeszcze pamięta? W każdym razie Bob zapisał się wspaniale w dziejach polskiej książki i będziemy długo jeszcze wracać do jego nadzwyczajnej aktywności, która przecież wykraczała poza sprawy naszego środowiska. Stał się Bob symbolem i posłańcem dobrych spraw.

I takim będę go zawsze pamiętał!



Tomasz Dostatni OP

DZIŚ* W AMERYCE JEST OBCHODZONE ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA. Święto narodowe i bardzo rodzinne. Najbliżsi zasiadają do jednego stołu. Radość ze spotkania przenika się z dziękczynieniem. Zawsze jest modlitwa.

I my dziś spotykamy się przy stole – ołtarzu, aby podziękować, każdy na miarę swojej wrażliwości i swojego doświadczenia, za życie Roberta (Boba) Gamble’a. My, przyjaciele, współpracownicy, ludzie różnych wyznań chrześcijańskich. Robert Gamble był anglikaninem, był księdzem Kościoła Episkopalnego w Ameryce i przez długie lata w Warszawie. Ale w tych dniach ktoś o nim tutaj powiedział: amerykański poznaniak. Gdy się przedstawiał na falach Radia Obywatelskiego, sam o sobie mówił: jestem Amerykaninem szkocko-irlandzkiego pochodzenia, mówił to tym swoim uroczym językiem polskim.

Znałem go osobiście 25 lat. Jako wydawcę, biznesmena, księdza. Człowieka niezwykle dobrego tym najpiękniejszym rodzajem dobra, bo ukierunkowanym na drugiego człowieka. Przed chwilą usłyszeliśmy w Liście do Rzymian: „Nikt nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla

* Kazanie wygłoszone na pogrzebie Roberta Gamble’a 26 listopada 2020 r.

siebie”. Robert Gamble nie żył dla siebie, a teraz, gdy umarł, umarł dla nas. Ale żyje dla Boga. Gdy patrzyło się na jego życie tutaj na ziemi, tutaj w Poznaniu, było widać, że żył dla Boga, bo żył dla drugih. Patrząc na to jego życie, dostrzegałem źródło. Protestancki, anglikański, amerykański etos pracy, modlitwy, bezinteresownej pomocy.

Długo by wymieniać jego zaangażowania. Media Rodzina, Studio Telewizyjne Kokon, Radio Obywatelskie, Wspólnota Anonimowych Alkoholików, Wigilie pod Rondem Kaponiera, Fundacja Mikołaja Reya. Wiele innych mniejszych i większych projektów.

W moich latach poznańskich, ale i potem, dużo rozmawialiśmy o Bogu, o Kościele. Na wspólnych wyprawach na targi książki do Frankfurtu nad Menem widywałem go, jak z przejęciem czytał przed śniadaniem Ewangelię.

Pamiętam, jak pewnego razu, mówiąc coś, podkreśliłem, że mówię to jako katolik. Bob dodał od razu: ja też jestem katolikiem, tylko nie rzymskim. To on uczył mnie szerszego rozumienia Kościoła. Tolerancji wzajemnej.

Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku napisał do mnie list na 30. rocznicę moich święceń kapłańskich. „Nadal nie do końca rozumiem życie w polskiej kulturze, ale rozmowy z ojcem Tomaszem zawsze pomagał (!). I fajnie było że ogólnie zgadzaliśmy się co do tego, co lubimy, a co nie lubimy w wydarzeniach w Polsce i na świecie”.

Próbował zrozumieć Polskę, nas Polaków, naszą kulturę i mentalność. Pamiętam, jak byliśmy razem w kinie na *Ogniem i mieczem*. Po filmie powiedział: „Byłem już cztery razy – nie do końca rozumiem, o co tu chodzi”.

Mógłbym, jak w kinie, przywoływać różne klatki filmu, który teraz mi się odtwarza, gdy myślę o Robercie Gamble’u.

Jednym z ważnych wspólnych doświadczeń były msze, które odprawiałem, a w których on, anglikanin, uczestniczył. Ostatnia była tutaj, u dominikanów, na jego 80. urodziny. Ale i w kaplicy pod kościołem

przed wielu już laty za śp. panią Bosacką, mamę Marcina. Ewangelia dzisiejsza mówi nam, że apostołowie w Emaus poznali Jezusa po łamaniu chleba. Ja w łamaniu chleba eucharystycznego spotykałem się z Robertem Gamble’em, gdy widziałem jego twarz, pobożnego protestanta, który modlił się dosłownie jak dziecko.

Bywał w Lublinie z Bronisławem Kledzikiem na moje zaproszenie na słynnej już debacie „*Harry Potter* a chrześcijańskie wartości”.

Wróć do Święta Dziękczynienia, bo i my dzisiaj dziękujemy dobremu Bogu, że mogliśmy poznać Boba.

Był twarzą Poznania i miasto potrafiło to dostrzec, był twarzą wydawców książek i potrafili to dostrzec czytelnicy. Polski ruch ekumeniczny, który tworzył ze swoim amerykańskim, liberalnym doświadczeniem, w najpiękniejszym ujęciu tego słowa „wolność”, wiele mu zawdzięcza. Był dobrym człowiekiem z gatunku tych, którzy świat po sobie pragną zostawić lepszym.

W czasie Święta Dziękczynienia padają zawsze słowa modlitwy. Często improwizowanej. I ja pragnę zakończyć słowami amerykańskiej modlitwy wypowiedzianej w tym dniu, modlitwy zapisanej:

*Ojcze w Niebie, Stwórco wszystkiego
i Źródło wszelkiej dobroci i miłości!
Prosimy, spojrzysz na nas łaskawie
i przyjmij naszą serdeczną wdzięczność
w tym czasie Dziękczynienia.
Dziękujemy Ci za wszystkie łaski i błogosławieństwa,
którymi nas obdarzyłeś,
zarówno duchowe, jak i doczesne:
naszą wiarę i religijne dziedzictwo,
nasze pożywienie i schronienie, nasze zdrowie,
miłość, którą mamy dla siebie nawzajem,
oraz za naszą rodzinę i przyjaciół.*



14. Wigilia pod Rondem. Obok Boba red. Mariusz Kwaśniewski (1999).

15. Wigilia pod Rondem (2002). Obecni na spotkaniu trzymają w ręce żółte kartki z tekstem *Cichej nocy* w różnych językach.



*Drogi Ojczy, w Twojej nieskończonej wspaniałości,
udziel nam ciągłych łask
i błogosławieństw przez nadchodzący rok.
Prosimy o to w Imię Jezusa, Twojego Syna
i naszego brata. Amen.*

Do kazania, które wygłosiłem na jego pogrzebie, pragnąłbym dorzucić kilka jeszcze wspomnień, obrazków, które mi utkwiły i często wracają do mnie, gdy o nim myślę.

ROZMOWY W RADIU OBYWATELSKIM. Sam je prowadził. Miał wywieszony i dużymi literami napisany kodeks. Pamiętam, że było tam napisane, iż najważniejszy jest ten, kto dzwoni. Jego głos, poglądy, że mamy go słuchać, a nie zagadywać swoimi komentarzami. To dla Boba było w ogóle najważniejsze. Słuchać innych. Pozwolić im przedstawić swój punkt widzenia. Gdy przed wielu laty zaczęły się pierwsze ujawnienia nadużyć seksualnych wśród duchownych w Polsce, zapytałem go, jak oni sobie z tym dają radę w Kościele Episkopalnym. Powiedział mi o instytucji człowieka, który jest ustanowiony przez biskupa, aby wysłuchał ofiarę. Przyjął ją pierwszy i zrozumiał z empatią. Sam wtedy napisałem felieton, w którym o tym opowiedziałem. Nazywał się: „Kościół słuchający ludzi”. Pozwolić innym opowiedzieć swoją historię. Tak było w radiu, tak było w życiu codziennym.

Wiem, że też tak odczytywał historię Poznańskiego Czerwca 1956 roku. Władza nie słuchała ludzi. Stąd jego pomysł, aby to Radio Obywatelskie miało swoją siedzibę w fabryce Cegielskiego, skąd robotnicy wyszli wtedy na miasto w pochodzie protestu.

WIGILIA POD RONDEM. Projekt, aby ci, którzy są bezdomni lub bardzo biedni, mogli się spotkać w tym newralgicznym punkcie miasta w ten dzień wyjątkowy. Fundował posiłek, prezenty dosłownie dla każdego, kto przyjdzie. Ale chciał, aby też usłyszano tam wtedy Słowo Boże. Prosił księży, pastorów, abyśmy przeczytali fragmenty ewangelii.

Robert Gamble pochodził z zamożnej rodziny, potrafił dostrzegać potrzebujących i, jak mawiał, wołał dzielić się poprzez programy, projekty, a niekoniecznie rozdawać pieniądze na ulicy pojedynczym ludziom.

Poznałem kiedyś jedną z jego sióstr, panią Epstein, jak Bob należącą do amerykańskiej klasy wyższej. Była bardzo zaangażowana w projekty całoswiatowe, tam, gdzie panowała bieda i głód, zwłaszcza wśród dzieci. Amerykański, protestancki etos niesienia pomocy innym w tej rodzinie był czymś oczywistym.

Bob potrafił także czynić małe gesty. Dosłownie zawsze miał na podorędziu jakąś książkę lub jakiś prezent. Wielokrotnie wielu obdarowywał książką, którą uważał za ważną.

Kiedyś przywiózł mi z Ameryki dużą fotografię, taki fotomontaż katedry nowojorskiej ze skrzyżowaniem ruchliwej ulicy umieszczonym w transepcie świątyni. Kościół i ruchliwa arteria. Bo, jak powiedział, to powołanie dominikańskie. Życie w wielkim hałaśliwym mieście. Życie duchowe z ludźmi. Oprawiłem to zdjęcie i mam do dziś w klasztornej celi. Aby pamiętać, co to znaczy być dominikaninem.

MODLITWA ANGLIKANINA. Widziałem go wielokrotnie, jak czytał przed posiłkiem przy stole Biblię. Miał jakiś egzemplarz, który wiem, że często gubił. Zapraszał mnie też do filmowych interpretacji Biblii. W naszych rozmowach na różne tematy, nie zawsze religijne, jako argument również cytował Biblię. Pamiętam, jak zażartowałem, gdy zarobił duże pieniądze na *Harrym Potterze*, powiedziałem, że to niesprawiedliwie, pan dość bogaty, a tu takie dochody. Od razu odpowiedział cytatem z Ewangelii:

„Kto ma, temu będzie dodane”. Sam dzielił się, i to hojnie, ale jak wspominałem – zawsze systemowo.

Widziałem go wiele razy na mszy świętej, na modlitwach ekumenicznych. Przyznam się, że nigdy nie uczestniczyłem w liturgii anglikańskiej, którą sam sprawował. I tego żałuję. Może będzie nam dane po drugiej stronie życia kiedyś wspólnie spotkać się przy ołtarzu. Głęboko w to wierzę.

ANONIMOWI ALKOHOLICY. Otrzymał wysokie odznaczenie od prezydenta Kwaśniewskiego za wkład w rozwój Ruchu Anonimowych Alkoholików w Polsce. W wydawnictwie W drodze wydawaliśmy przy jego wsparciu kilka razy książki, życiorysy anonimowych alkoholików. Potem cały nakład sprezentował na Kongresie Ruchu. Wiele o jego zaangażowaniu opowiadał mi Wiktor Osiatyński.

Również biografie ludzi nieheteronormatywnych, opisane w książkach, wydawał za własne pieniądze.

TARGI KSIĄŻKI. Nasze wspólne wyprawy na targi książki do Frankfurtu. To wiele godzin wspólnie spędzonych w aucie i wieczory już na miejscu po spotkaniach targowych. My, dominikanie, i on z panem Bronisławem Kledzikiem. Tam poznaliśmy się chyba najlepiej. Dwa światy, ale pewnie jeden świat, można powiedzieć – przyjaciół. Była też wspólna wyprawa do Pragi, gdzie mogłem oprowadzać go po mojej Pradze i doszło do kilku spotkań z moimi znajomymi: arcybiskupem Duką, Tomaszem Halikiem, Jarkiem Subrtem. Sam był dyskretnie jak zawsze wycofany, ale budził duże zainteresowanie. Amerykanin, z rodziny Gamble, pracujący i mieszkający w Polsce. Czesi próbowali to zrozumieć, nie zawsze im się to udawało.

LUBLIN. W ciągu mojego 20-letniego pobytu w Lublinie także udało mi się go zaprosić z książkami, które wydawał w Media Rodzinie.

Najbardziej utkwiło mi w pamięci spotkanie zatytułowane: „*Harry Potter* a chrześcijańskie wartości”. Długa, mądra rozmowa, idąca pod włos wszelkim stereotypom. Literatura dziecięca broni się sama. Próby dyskredytowania tej sagi przez doktrynerów wszelkiej maści zawsze raczej świadczą o ich umysłowości i niezrozumieniu, czym jest literatura.

Do dziś, gdy wspominam to spotkanie lubelskie, kończę opowieść anegdotą, która wtedy miała swoje źródło.

Po dwóch godzinach debaty o literaturze, jej roli, o *Harrym Potterze* i innych powieściach dla dzieci, np. *Akademii pana Kleksa*, głos zabrał chłopiec może trzynastoletni, może czternastoletni, który wytrzymał do końca spotkania. Powiedział, że on tej debaty i tematu nie rozumie. Przecież *Harry Potter* miał ojca chrzestnego i występuje Boże Narodzenie, to znaczy, że są tam chrześcijańskie wartości. Dostał burzę oklasków.

I mam także przed oczyma Boba, jak uwijał się za ladą na targach książki, czy to gdy odbywały się jeszcze w Pałacu Kultury w Warszawie, czy już na Stadionie Narodowym. Nie siedział jako właściciel w kantorku i nie popijał kawy, lecz czekał na czytelnika, czy to dużego, czy małego, i cieszył się sam jak dziecko, że ktoś chce czytać książki jego wydawnictwa. A wiele z nich Media Rodzina wydało przecież w formie graficznej z pięknymi ilustracjami, grafikami. Chociażby Józefa Wilkononia.



Drukarze z Abedika

ROBERT GAMBLE – BOB, CZŁOWIEK O OGROMNYM SERCU, niezliczonych zasługach, pięknych świadectwach miłosierdzia – najprawdziwszy Misjonarz.

Człowiek-legenda, który osiągnął bardzo wiele, ale nigdy dla siebie, zawsze dla innych, potrzebujących, chorych i uzależnionych, osamotnionych i pokrzywdzonych przez los. Wszystko, co robił, miało jeden najważniejszy cel – pomagać!

Z wielkim wzruszeniem wspominamy wszystkie chwile spędzone z panem Robertem, czy to na targach książki, czy podczas różnych jubileuszy. Nie zawsze rozpoznawał nasze twarze, ale na hasło Abedik już wiedział, że zaczepiają go drukarze. Nigdy nie odmawiał zaproszeń, dlatego jego obecność w abedikowych progach sprawiała nam ogromną radość i zaszczyt.

„Jestem bostończykiem szkocko-irlandzkiego pochodzenia” – tak się zawsze przedstawiał.

Pojawiał się w stroju podkreślającym jego przywiązanie do pochodzenia, a jednocześnie był tak bardzo nasz, z całego serca zaangażowany

w sprawy Polaków. Jesteśmy dumni, że wybrał Poznań na drugi dom, że osiadł na Pasiece i stamtąd realizował swoją działalność wydawniczą, która była doskonałym narzędziem do realizowania misji jego życia – głównie edukacyjnej – i spełniania marzeń, które zawsze związane były z niesieniem pomocy potrzebującym.

Jako jego uczniowie i zafascynowani obserwatorzy jesteśmy pełni wdzięczności za wydawnictwo Media Rodzina, za Wigilie pod Rondem dla samotnych, bezdomnych i głodnych, za Radio Obywatelskie, które uczyło nas mówić, słuchać i zabierać głos w ważnych dla siebie sprawach, za oddanie się bez reszty Wspólnocie Anonimowych Alkoholików, za wiele innych świadectw miłosierdzia.

Robert Gamble zaczarował nas nie tylko *Harrym Potterem*, ale przede wszystkim swoją ofiarnością i czynieniem dobra, które należy podawać dalej i zarażać innych, gdyż dobra nigdy za wiele. To najpiękniejszy dar od Boba, który tak żywo jest w naszych wspomnieniach, fotografiach, szlachetnych zasługach, w wydanych książkach, w naszych sercach. Jest z nami.



Grażyna i Krzysztof Durniatowie

ROBERTA GAMBLE'A POZNALIŚMY CHYBA w drugim roku działalności Radia Obywatelskiego. Robert był zafascynowany powstaniem Solidarności i chętnie zawierał znajomości z ludźmi, którzy budowali jej zręby w latach 1980-1981. Myślę, że z tego powodu Roberta do naszego domu przyprowadził Julian Zydorek, ówczesny dyrektor Radia Obywatelskiego. Potem kilkakrotnie uczestniczyłem w tygodniowych sesjach tematycznych radia. Z tego też okresu zapamiętałem zasadę, którą zalecał w rozmowach na antenie, aby w polemice z adwersarzem używać zwrotu: „mam wrażenie, że...”.

Robert często odwiedzał nas w domu, uprzednio pytając: „Czy to jest dobry czas, aby was odwiedzić na pół godziny?”, i nierzadko wyjeżdżał po dwóch godzinach. Kiedyś w czasie naszej rozmowy użyłem zwrotu: słowo się rzekło, kobyłka u płota. Robert nie bardzo zrozumiał, o co chodzi, więc mu wyjaśniłem, skąd wzięło się owo powiedzenie. Bardzo mu się to spodobało i chyba nawet zapisał je sobie w swoim małym kalendarzyku, bo w ciągu najbliższego pół roku dzwonił do mnie kilka razy z pytaniem: „Krzysztof, jak to było z tym koniem, bo chciałem powiedzieć, ale zapomniałem”.



16. Bob podczas nabożeństwa w kaplicy Kościoła Anglikańskiego w Warszawie (2008).



17. W kościele Świętego Krzyża w Warszawie (2015).

Pod koniec 2000 roku, ku mojemu zaskoczeniu, Robert zaproponował mi organizację kursów „Alfa”, o których się dowiedział od syna Dominika w Edynburgu. Kurs „Alfa” głównie adresowany jest do osób, które już w drugim albo i trzecim pokoleniu przestały być chrześcijanami i chociaż sytuacja w Polsce była wówczas jednak różna od tej w Europie Zachodniej, to Robert ideę „sprowadzenia” tego kursu do Polski argumentował tym, że zawiera on w swej treści kerygmat chrześcijaństwa, czyli jego podstawy, i zanim społeczeństwo polskie zeświecczeje zupełnie, może warto by było przypominać na nowo jego podstawowe zasady. Kiedy się zgodziłem, poprosił, abym skontaktowałem się z przedstawicielami pozostałych Kościołów chrześcijańskich Poznania i zaproponował im wspólny wyjazd do Londynu do siedziby Holy Trinity Brompton, gdzie narodziła się koncepcja kursów „Alfa” i gdzie odbywała się ogólnoeuropejska konferencja, na której prezentowana być miała zarówno organizacja kursu, jak i jego merytoryczne treści.

Na ten pierwszy wyjazd pojechało nas kilkanaście osób. Potem wyjeżdżaliśmy jeszcze kilka razy na kolejne konferencje tylko we dwójkę, a następnie przez kolejne lata raz w roku znowu w kilkunastoosobowych grupach. Wspominam o tych wyjazdach, bo zwykle Robert brał dla nas obu dosyć skromny dwuosobowy pokój. Rano prawie zawsze wstawał pierwszy, siadał na skraju łóżka, klękał na jedno kolano i przez kilkanaście minut modlił się tekstami Pisma Świętego. Potem przygotowywał dla nas obu kawę, wychodził z pokoju i po kilku minutach wracał z bułeczkami. Pewnego roku zapowiedział, że pierwszą noc spędzimy w ekskluzywnym hotelu (nazwy niestety nie pamiętam), bo ma się spotkać z bratem i bratową, a ten hotel jest tradycyjnie miejscem spotkań rodzinnych. Tak też było, rano zjedliśmy wspólnie z bratem i bratową Roberta śniadanie i po około dwóch godzinach spakowaliśmy się i przenieśliśmy się na dalszy pobyt do normalnego hotelu. Robert w swoich potrzebach był bardzo skromny, ale gdy chodziło o innych, zawsze dbał o ich wygodę. Kiedy w 2001 roku powierzył mi zorganizowanie w Poznaniu spotkania dla ponad 60 osób zainteresowanych kursem „Alfa”, to

zapowiedział, że mam zadbać nie tylko o ich wygodę, ale żeby wszyscy czuli się komfortowo.

W związku z przygotowaniami do zaprezentowania kursu „Alfa” w Poznaniu, miałem przedstawić Roberta ks. biskupowi Grzegorzowi Balcerkowi, który był wówczas odpowiedzialny za formy ewangelizacji w naszej archidiecezji. Zadzwoiłem do dr Danusi Dudrak, z którą Roberta łączyła przyjaźń (Bob w jej domu spędzał wiele Wigilii), żeby mi podpowiedziała, co mam powiedzieć. Odpowiedziała bez namysłu: „Powiedz, że to prawdziwy chrześcijanin”.

Nie pamiętam dokładnie, w którym to roku Robert zaproponował nam, czyli mnie i mojej żonie, abyśmy po rodzinnej Wigilii dołączyli do organizowanej przez niego Wigilii pod Rondem. Uczestniczyliśmy w tych Wigiliach do ostatniej, dwudziestej. Ponieważ Robert w niedziele i święta posługiwał w Warszawie jako pastor w parafii anglikańskiego Kościoła Episkopalnego, zabieraliśmy Roberta z tej Wigilii do nas do domu, aby trochę odpoczął, i chyba około drugiej w nocy odwoziłem go na pociąg do Warszawy.

Jest wiele sytuacji i zdarzeń, które już się nie powtórzą, ale najbardziej mnie i mojej żonie będzie brakowało tych telefonów z zapytaniem: „Czy to jest dobry czas na wizytę u was?” Potem ta krzątanka Grażyny, aby szybko zorganizować któryś z jego ulubionych przysmaków. Już ten brak odczuliśmy, kiedy Robert przestał sam poruszać się samochodem.

Czujemy się wyjątkowo wyróżnieni, że dane nam było nie tylko spotkać Roberta, ale także uczestniczyć w jego wielu przedsięwzięciach. Mamy nadzieję, że nasza wspólna droga się nie skończyła i będzie nam dane znowu spotkać się w Domu Ojca.



Ilona Fliger

NIGDY NIE ZAPOMNĘ PANA ROBERTA wchodzącego do biura, witającego się ze mną i wypowiadającego swoją wyjątkową polszczyzną, że bardzo się cieszy, że przyszedłem do niego pracować. To był rok 2000. Nieco zagubiona i badająca grunt w swojej pierwszej pracy poczułam się mile zaskoczona takim powitaniem.

Z biegiem czasu dowiadywałam się, kim jest ów człowiek, jakie idee mu przyświecają, jak bardzo pomaga ludziom, co robi poza wydawaniem książek. Byłam pod wrażeniem. Czułam, że jego działania są zupełnie bezinteresowne. I się nie pomyliłam. Pomagał, bo takie było jego powołanie, miał szczere i dobre serce.

Z dwudziestu lat pracy z panem Robertem w pamięci utkwiła mi między innymi historia związana z... miotłą. Gdy przygotowywaliśmy premierę trzeciej części *Harry'ego Pottera*, jednym z gadżetów promocyjnych była miotła „Nimbus 2000”. O seryjnego producenta takiego sprzętu raczej trudno, ale zadania podjął się mój znajomy z sąsiedniej wsi. To była ręczna, mozolna praca, więc zanim rzemieślnik wyprodukował całą zamówioną ilość mioteł, kolejne sztuki przywoził do mojego

garażu. W tym czasie pan Robert przygotowywał się do wizyty w Stanach. Podróżował tam najczęściej raz do roku. Pewnego popołudnia zadzwonił do mnie i zapytał, gdzie dokładnie mieszkam, bo chciałby przyjechać po „Nimbusa”, by zabrać jedną sztukę do USA. Byłam pewna, że żartuje, ale pojawił się już po godzinie. Zabrał miotłę z brzozywych witek i pojechał z nią na lotnisko. Pan Robert nigdy nie przekreślał żadnego pomysłu. Pamiętam, że zawsze się uśmiechał i był optymistą.

W listopadzie ubiegłego roku świętowaliśmy z moim kolegą Dagma-rem jubileusz 20 lat pracy w Media Rodzinie. Wysłałam esemesa panu Robertowi, dziękując za zaufanie, jakim obdarzył mnie wiele lat temu. Nie odpisał, ale mam nadzieję, że odczytał. Bardzo się cieszę, że go poznałam.



Piotr Frydryszek

PO RAZ PIERWSZY SPOTKALIŚMY SIĘ KRÓTKO PO TYM, jak Bob uruchomił w Poznaniu Radio Obywatelskie. Ja szefowałam wówczas Radiu Merkury, regionalnej rozgłośni Polskiego Radia w Poznaniu, on był założycielem radia całkiem nowego typu na gruncie polskim. Można by powiedzieć – spotkanie konkurentów. Według autorskiego pomysłu Boba, program jego stacji był adresowany do bardzo różnych odbiorców. Miał łagodną i pogodnie brzmiącą muzykę, dużą ilość słowa, szczególnie rozmów ze słuchaczami i nie było w nim reklam.

Bob postanowił, że hasłem przewodnim radia będzie dewiza „Radio, które słucha Ciebie”. Słuchaczowi Bob wyznaczył w tej formule programu rolę wiodącą. Miał on być nie tylko biernym konsumentem audycji przygotowywanych przez stację, ale miał jej podpowiadać, czym powinna się zająć, kogo zaprosić do programu, no i oczywiście miał on brać czynny, telefoniczny udział w programie. Tak właśnie w koncepcji Boba należało rozumieć obywatelskość radia i to, że odbiorca ma nie tylko przywilej słuchania, ale nade wszystko, że może w istotny sposób wpływać na jego program.

Radio Merkury i inne rozgłoszenie miały w tamtym czasie także pasma bezpośredniego kontaktu antenowego ze słuchaczami, ale tak eksponowanej roli, jaką wyznaczał Bob słuchaczom w swoim radiu, nie mieli oni



18. Jubileusz 20-lecia Media Rodziny. Laudację wygłasza prezes Radia Merkurii Piotr Frydryszek (2011).



19. Medal pamiątkowy od Fundacji Cała Polska Czyta Dzieciom (2012).

nigdzie. I to było absolutne *novum*. Na przykład przygotowanie pasma rozmów ze słuchaczami polegało na tym, że Bob codziennie proponował słuchaczom tematy do dyskusji – jeden na przedpołudnie i jeden na popołudnie, a jak były to rozmowy z udziałem dzieci, to temat był dziecięcy.

Do rozmów zapraszano gości z zewnątrz, tak zwanego współgospodarza programu – kogoś, kogo proponowali słuchacze, albo kogoś, kogo proponowało radio. Rola dziennikarza prowadzącego, zwanego gospodarzem programu, była minimalna. Miał jedynie ułatwić dzwoniącemu wypowiedzenie się na konkretny temat i pilnować, żeby jego wypowiedź mieściła się w wyznaczonym czasie. Wszystkich biorących udział w antenowych rozmowach obowiązywało pięć zasad wymyślonych przez Boba, a brzmiały one tak:

1. Posługujemy się językiem bez brzydkich słów.
2. Czas dzwoniącego ograniczony jest do 2,5 minuty.
3. Chwalimy lub krytykujemy człowieka za to, co robi lub czego nie robi, a nie za to, kim jest.
4. Tylko Pan Bóg wie, co jest prawdziwą motywacją drugiego człowieka. Dlatego jeśli nie możemy zacytować wypowiedzi tego człowieka, to powinniśmy powiedzieć: mam wrażenie, że taka jest jego motywacja.
5. Podczas programu jego gospodarz nie ma prawa do wyrażania własnej opinii – współgospodarz ma takie prawo, ale stały gospodarz – nie.

Zasady te prowadzący powtarzał w czasie programu kilkakrotnie.

Radio spodobało się poznaniakom, szczególnie starszym, samotnym, mającym potrzebę porozmawiania. Można nawet powiedzieć, że odniosło sukces. Bob wymyślił to radio, w całości finansował je, ale jako obywatel Stanów Zjednoczonych nie mógł w świetle obowiązujących wówczas przepisów być jego właścicielem. Mógł być jedynie sponsorem. Roli właściciela podjęła się więc Fundacja Obywatelska. Po kilku latach Bob uznał, że przyszedł czas, żeby pierwsze jego poznańskie dziecko usamodzielniało się, żeby przestało żyć na koszt sponsora. Radio musiało więc zacząć zara-



20. Na targach książki w Poznaniu w 2015 r. Od lewej: Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania, Bob, Rafał Skąpski, prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.



21. Pamiątkowa statuetka Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek (2015).



22. W 2015 r. Bob otrzymał odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej.

biać na siebie reklamami, podjąć walkę na coraz drapieżniejszym, komercyjnym rynku medialnym w Polsce. I wtedy okazało się, jak wiele Bob znaczył w życiu radia. Nie tylko finansowo, ale także jako pomysłodawca i kreator. Bez Boba radio nie dało jednak rady, nie przetrwało. Mimo to Bob mógł uważać się za zwycięzcę. Zbudował coś z niczego, stworzył nową jakość, pociągnął za sobą spore grono ludzi – i tych, którzy z nim pracowali, i tych, którzy poczuli emocjonalną więź z jego radiem.

Myszę, że Bob miał w sobie w ogóle potrzebę budowania międzyludzkich więzi. W końcu był nie tylko pastorem, ale miał za sobą doświadczenie terapeutyczne wyniesione z działalności we Wspólnocie Anonimowych Alkoholików. Bob był silną osobowością, zawsze z dużą ilością pomysłów i ogromną wolą ich realizacji. Dlatego każde nasze spotkanie albo telefoniczny kontakt dotyczył jakiegoś konkretnego pomysłu, z którym Bob zgłaszał się do mnie. Albo była to jakaś propozycja współpracy radiowej, albo próba namówienia mnie na wspólną akcję społeczną, a czasem była to prośba o pomoc, jak w przypadku Wigilii pod Rondem, kiedy pomogliśmy Bobowi znaleźć producenta tego niecodziennego przedsięwzięcia.

Psychologowie powiadają, że człowiekowi potrzeba czasem zaledwie ułamek sekundy, żeby podczas pierwszego kontaktu z innym człowiekiem poczuć do niego sympatię lub antypatię. Boba darzyłem sympatią od pierwszego wejrzenia. Dla mnie jego sympatyczność polegała przede wszystkim na uśmiechu przechodzącym od czasu do czasu w pełny śmiech, wyczuwalnej pasji, no i swoistej nieporadności w zmaganiu się z polszczyzną. Mimo że w Polsce spędził wiele lat, nigdy nie udało mu się opanować zawiloci naszego języka. Dlatego z właściwym sobie wdziękiem posługiwał się językiem, który od jego nazwiska nazwano gambolskim. Była to amerykanopolszczyzna, a mówiąc prościej, skrzyżowanie amerykańskiej wersji języka angielskiego i języka polskiego.

Nasza wieloletnia znajomość i współpraca zbudowała między nami nie tylko sympatię, ale i zaufanie. Przekonałem się o tym, kiedy byłem już na emeryturze. Któregoś dnia Bob zadzwonił do mnie, rozpoczynając rozmowę jak zwykle swoim charakterystycznym „No, haaj...” i prosząc

o w miarę pilne spotkanie. Jak się potem okazało, chciał zaprosić mnie do pracy w kierownictwie swojego wydawnictwa Media Rodzina. Propozycja była dla mnie tyleż zaskakująca, co wielce nobilitująca. Podziękowałem Bobowi za zaufanie, jakim mnie obdarza, ale powiedziałem, że jako radiowiec nie czuję się na tyle kompetentny, żeby przystąpić do kierowniczego staffu renomowanej oficyny wydawniczej.

W osobie Boba spotkałem kogoś niezwyklego, życzliwego, pełnego empatii, upartego marzyciela obdarzonego żelazną wolą realizowania marzeń. Myślę o nim z wielkim szacunkiem, podziwem i sympatią. I dlatego chciałbym zakończyć to wspomnienie wierszem George'a Herberta, angielskiego poety z przełomu XVI i XVII wieku, który niech będzie dedykacją dla Boba, gdziekolwiek wędruje jego dusza:

*Dniu taki piękny, jasny i pogodny,
Z niebem, co czule na ziemię spoziera:
Rosa oplącze dzisiaj zmierzch twój chłodny,
Bo każdy dzień umiera.
Różo, choć w tobie barw palących tyle,
Że widz niebaczny oko aż przeciera,
Twoje korzenie tkwią w własnej mogile:
Kwiat każdy też umiera.
Wiosno, pogody i róż poro słodka,
Jak puzdro perfum twój czas się otwiera,
Lecz ma kadencję swą, jak pieśni zwrotka;
Bo cały świat umiera.
I tylko dusza prawa i cnotliwa
Trwa niczym dobrze wytrawione drewno,
Choć świat w popiołach wszystek dogorywa,
Ona żyje na pewno.*

Przełożył Stanisław Barańczak



Grzegorz Ganowicz

ROBERTA GAMBLE'A POZNAŁEM NA POCZĄTKU LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH. Nie było w tym żadnej mojej zasługi – znali się z moim Tatą, wówczas senatorem i rektorem Akademii Rolniczej w Poznaniu. Spotykali się najczęściej w gronie wybitnych profesorów: Jacka Łuczaka, twórcy opieki paliatywnej w Polsce, Stefana Stuligrosza, światowej sławy dyrygenta, i Kazimierza Obuchowskiego, wybitnego psychologa. Ta czwórka była początkowo czymś w rodzaju rady programowej Radia Obywatelskiego. Dlatego też już wcześniej sporo o Bobie wiedziałem.

Z tych pierwszych kontaktów zrodziła się zapewne propozycja pana Roberta, żebym wziął udział w próbach mikrofonowych rodzącego się właśnie Radia Obywatelskiego. Dla mnie, człowieka mało obytego z techniką radiową, było to bardzo ciekawe doświadczenie. Już sama obecność w studio była czymś nowym, ale konieczność nawiązania rozmowy z kimś, kto akurat zadzwonił, podjęcia tematu, improwizacji – to było szczególne doświadczenie. I to, co w Radiu Obywatelskim najważniejsze: słuchania, a nie narzucania siebie. Musiałem wypaść nie najgorzej, bo pojawiła się propozycja współpracy, ale wtedy już pochłaniały

mnie inne zajęcia. Na pamiątkę został mi banknot jednodolarowy, bo pan Robert za te próby płacił symbolicznego dolara.

Nieco później spotkaliśmy się w firmie Perfekt (byłem jej udziałowcem), zajmującej się przygotowaniem do druku wydawnictw. Dostaliśmy do przygotowania pierwszą publikację wydawnictwa Media Rodzina *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły* Adele Faber i Elaine Mazlish. I od tej książki zaczęła się wieloletnia współpraca, w czasie której przygotowaliśmy do druku wiele książek ze sztandarym cyklem o Harrym Potterze włącznie. Zawsze miałem poczucie, że linia wydawnictwa jest bardzo przemyślana, że ukazują się w nim książki, które dotyczą spraw ważnych dla Roberta: Wspólnoty AA, komunikowania się ludzi między sobą, wychowania, ale też historii Poznania, ze szczególnym odniesieniem do Powstania Czerwcowego 1956 r. Do tego wydarzenia odnosił się z wielką atencją.

Spotkania z Robertem były ciekawe, ale – zgodnie z wyznawaną dewizą – on sam mówił niewiele, raczej słuchał. Czasami nawet impulsywnie. Zwłaszcza gdy miał poczucie, że ktoś lub coś zagraża wyznawanym przez niego wartościom bądź zagraża jakiemuś przedsięwzięciu. Czasami zamiast przekonywać do swoich racji, przynosił książkę i mówił: „Prze-czytaj to”.

Jestem głęboko przekonany, że Robert Gamble, Amerykanin z urodzenia, ale poznaniak z wyboru, zostawił swój trwały ślad w Poznaniu. Potwierdziła to Rada Miasta Poznania, podejmując w roku 2016 uchwałę o nadaniu Mu tytułu „Zasłużony dla Miasta Poznania”. W uchwale napisaliśmy, że czynimy to, „wyrażając uznanie dla wieloletniej pracy i osiągnięć służących rozwojowi kultury oraz doceniając umiejętne łączenie zaangażowania społecznego z wyznawanymi wartościami”.

29 czerwca 2016 roku z wielką przyjemnością i radością tytuł ten mogłem osobiście panu Robertowi Gamble’owi wręczyć.



Zbigniew Grochal

ROBERT GAMBLE BYŁ NIE TYLKO ANIMATOREM. Dla mnie, w moim życiu, wówczas dyrektora Radia Obywatelskiego, był człowiekiem ważnym. Poświęcił Polsce, polskim problemom, polskiemu patriotyzmowi, Polakom, często ludziom zagubionym, ważną część swojego życia. Myślę, że była to taka trochę też duszpasterska działalność. Niemniej było to działanie nie poprzez religię, tylko poprzez swoją osobowość. Po prostu taki to był człowiek.

Dewizą radiostacji było: „Radio, które słucha Ciebie”, przesłanie ważne na tamte nasze czasy, na odradzającą się niepodległość, na odradzającą się demokrację, przesłanie dla ludzi, którzy przyszli z Solidarności. To było radio, które w swoim pomysle czerpało całymi garściami z doświadczeń małych amerykańskich rozgłośni talk radio. Ludzie przychodzili do tego radia, siadali w nim i współtworzyli audycję.

Każdego dnia, gdziekolwiek pan Robert był, czy w radiu, czy w Stanach, otrzymywaliśmy od niego pytania do audycji popołudniowych, w których dziennikarze nie wyrażali swoich opinii, a jedynie prowadzili

audycję, natomiast zaproszony gość miał prawo wyrażać opinie, które często różniły się od tego, czego dowiadaliśmy się na co dzień. W tym sensie było to radio odkrywcze.

Osobną sprawą była sama obecność Boba przy mikrofonie. Pan Robert miał klasycznie radiowy głos, ale jego polszczyzna to było dukanie. Sam intensywnie uczył się polskiego, brał lekcje, uczył się składni, gramatyki, wymowy. Do końca jednak pozostał takim urokliwie gaworzącym łamaną, ale czytelną polszczyzną Amerykaninem.

Bob, dziękuję Bogu, że mogłem Cię spotkać i ogrzewać się w Twoim blasku. Dziękuję, że pojawiłeś się w moim życiu.



Lech Jęczmyk

BOBA, BO TAK KAZAŁ SIĘ NAZYWAĆ, POZNAŁEM W ROKU 1958. Po przełomie 1956 roku Polska stała się najweselszym „barakiem” w obozie socjalistycznym, dokąd Bob przyjechał z grupą kolegów w ramach tzw. wymiany studenckiej, polegającej na tym, że przez trzy tygodnie Amerykanin przebywał w polskiej rodzinie i trzy tygodnie Polak w rodzinie amerykańskiej. Nasz „barak” był wprawdzie weselszy od innych, ale nie do tego stopnia, żeby wypuszczać młodych Polaków na Zachód, zatem te drugie trzy tygodnie spędziliśmy na opłaconej przez gości wycieczce po Polsce. Dla nich pobyt tutaj był nie lada egzotyką. Prawdziwy parowóz! Para buch, koła w ruch. Częstochowa! A tam, u podnóża Jasnej Góry, nieoczekiwane spotkanie z potencjalnymi wrogami. Przywiozła do domu zdjęcia z żołnierzami Armii Czerwonej!

Choć z wykształcenia jestem rusycystą, dzięki Bobowi zostałem tłumaczem literatury amerykańskiej, od której w latach stalinizmu dzieliła nas żelazna kurtyna. To on przesłał mi zaoceaniczne nowości: *Paragraf 22* Hellera, *Kocią kołyskę* Vonneguta i *Lot nad kukulczym gniazdem* Keseya. W ten sposób Bob zapoczątkował pewien przełom w polskiej znajomości

współczesnej literatury amerykańskiej. Dzisiaj stoi u mnie na kredensie dziesięć wydań *Paragrafu 22*, a było też parę inscenizacji teatralnych i przedstawień Teatru Telewizji.

Bobowi Polska przypadła do serca, choć nigdy do końca jej nie rozumiał. Zresztą czy ja ją rozumiem? Rozumieć a kochać to dwie różne rzeczy. Bob zaczął przyjeżdżać do Polski, z odchyleniem w stronę Krakowa, gdzie znalazł żonę. Wraz z moją małżonką byliśmy na jego ślubie – ja byłem nawet drużbą. Dodam: pechowym, bo wszystkie małżeństwa z moim drużbowaniem rozsypały się w proch i pył.

Bob, najbardziej pokojowy człowiek na świecie, odbył służbę wojskową w rezerwie i został porucznikiem marynarki wojennej. Ukończył filologię angielską na prestiżowym Uniwersytecie Harvarda, a potem seminarium duchowne i został księdzem niszowego już Kościoła Episkopalnego. W końcu jednak Bob wylądował w Polsce, w Poznaniu, gdzie rozwinął ożywioną działalność. Przede wszystkim uruchomił wydawnictwo pod nieco dziwnym tytułem Media Rodzina i postawił na jego czele znakomitego fachowca Bronisława Kledzika. Zastanawiając się, w czym pomóc Polsce, Bob propagował Wspólnotę Anonimowych Alkoholików – wówczas u nas nowość – a że ci dzielni ludzie nie przyjmują pieniędzy, wydał dla nich poradnik z 12 krokami do trzeźwości. Inną amerykańską nowością, którą wprowadził, było poznańskie talk radio, którego sygnał co prawda nie docierał do Warszawy, ale głośno było o nim również w stolicy.

Swoją część odziedziczonej fortuny znanej firmy Procter & Gamble Bob wydał na cele charytatywne w Polsce, sam żyjąc bardzo skromnie. Są dobrzy ludzie, którzy ze swojego bogactwa część przeznaczają na dobre cele. Bob na dobre cele przeznaczył prawie wszystko, co miał, dla siebie przeznaczając niewiele. Zachowajmy go w dobrej pamięci.



David A. Jones

MOJE WSPOMNIENIA O ROBERCIE DAVIDZIE (BOBIE) GAMBLE’U mają swój początek w Święto Dziękczynienia. Trudno mi precyzyjnie określić, który to był rok, chyba 2011, ponieważ moja czteroletnia kadencja przewodniczącego komitetu parafialnego w Kościele Anglikańskim w Polsce (2008-2012) właśnie dobiegała końca. Poszedłem wtedy z Bobem na lunch do nigeryjskiej restauracji w Warszawie. Ojciec Bob, jak z szacunkiem nazywali go parafianie, pełnił funkcję kapelana Kościoła Anglikańskiego w Polsce, a także honorową funkcję tytularnego proboszcza tego Kościoła. Tamtego dnia Bob zaprosił mnie na lunch, podczas którego rozmawialiśmy o różnych sprawach. Gdy wspomniałem, że nie będę jeść obficie, ponieważ wieczorem spotykam się z innymi na uroczystym dziękczynnym obiedzie w hotelu Westin, i zapytałem, czy Bob też się tam wybiera, odparł z lekkim smutkiem: „David, to właśnie jest mój dziękczynny obiad”! Nigdy nie zapomnę mojego spostrzeżenia: ktoś, kto wydaje się, że ma wszystko, pod pewnymi względami ma dużo mniej niż inni, lecz ceni to, co Bóg mu dał, i wykorzystuje to, by pomóc innym.

W 1837 roku przodek Boba James Gamble wraz ze swoim szwagrem Williamem Procterem założyli firmę produkującą mydło, Procter & Gamble z inicjatywy ich teścia, Alexandra Norrisa, w Cincinnati w stanie Ohio. Firma rosła w ogromnym tempie, przynosząc spadkobiercom założycieli, w tym Bobowi, wielką fortunę. Potomek rodziny Gamble w drugim pokoleniu, James Norris Gamble, wynalazł białe mydło Ivory, detergent, który chroni ręce, a przy tym nie tonie, tylko unosi się na powierzchni wody, co przyniosło ulgę kobietom w czasach, gdy prano ręcznie. Rodzina Gamble wiodła prym w uznawaniu potrzeb kobiet w tamtych czasach. Potomek założycieli w trzecim pokoleniu, Clarence James Gamble, lekarz medycyny, ojciec Boba, utworzył Fundusz Pathfinder w 1957 r., w którym aktywnie działała matka Boba, Sarah Merry Bradley Gamble, promując dostęp do środków antykoncepcyjnych zarówno w Stanach, jak i w krajach rozwijających się. Gdy w roku 1914, w wieku 21 lat przyszły doktor Gamble odziedziczył milion dolarów z zastrzeżeniem, że 10 procent ma zostać użyte na cele charytatywne, zwiększył ten procent do 30. Rodzice Boba uważali, że każde dziecko powinno być dzieckiem chcianym, a akt prokreacji powinien być aktem miłości, a nie pożądania.

Czasami Bob wolał, by nazywano go „Wielebny Robert *Campbell*”, żeby od funkcji kościelnej oddzielić świecką karierę Roberta Gamble’a – najpierw współzałożyciela Radia Obywatelskiego, a potem współzałożyciela, z Bronisławem Kledzikiem, wydawnictwa Media Rodzina. Nakładem wydawnictwa ukazały się na przykład autobiografie prezydentów Baracka Obamy oraz Josepha R. Bidena, Jr. (zanim zostali prezydentami), a także seria J.K. Rowling *Harry Potter*.

Powód, dla którego wnioskowałem o przyznanie Bobowi Krzyża Wielkiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, najwyższego polskiego odznaczenia przyznawanego obcokrajowcom, miał niewiele wspólnego z jego zmysłem biznesowym. Głównym powodem było wielkie poświęcenie Boba dla innych, cecha, którą odziedziczył po swojej słynnej rodzinie.

Pod koniec 2008 roku, gdy byłem pacjentem polskiego Narodowego Centrum Kardiologii, Bob odwiedzał mnie dwa razy w tygodniu, mimo że jego kolana były w stanie niemal uniemożliwiającym chodzenie. Podczas każdej wizyty Bob skrupulatnie zapoznawał się z moją kartą choroby, wyjaśniając mi kluczowe kwestie i poruszając je z personelem lekarskim. Bob, jako syn i brat wyszkolonych na Harvardzie lekarzy, miał najwyraźniej zmysł medyczny.

Troska o innych ludzi była ważną częścią życia Boba. Od roku 1980 przez 12 lat pracował jako kapelan szpitalny w Bostonie, co było zajęciem bardzo wyczerpującym emocjonalnie, za które księża niewiele dostają w zamian. W 1994 roku Bob wrócił do Polski i założył kilka oddziałów Wspólnoty Anonimowych Alkoholików, dając Polakom rozwiązania w leczeniu uzależnienia alkoholowego. Motto Wspólnoty AA odzwierciedla w wielu aspektach myślenie Boba: *Boże! Proszę, daj mi siłę, abym pogodził się z tym, czego zmienić nie mogę; odwagę, abym zmienił to, co zmienić mogę, i mądrość, abym potrafił odróżnić jedno od drugiego.*

Gdy w roku 2005 Kościół Anglikański w Polsce pozostał bez kapłana, Bob przyjął i pełnił tę funkcję aż do momentu, gdy pogarszający się stan zdrowia kazał mu w 2014 r. przejść na emeryturę. Mówił, że czuł się zobowiązany do objęcia tej funkcji, aby wypełnić śluby, jakie złożył, zostając duchownym. Ukończywszy studia niższego stopnia na uniwersytecie w Harvardzie, Bob podjął służbę morską jako oficer marynarki wojennej, a potem rozpoczął studia w seminarium duchownym w Bostonie. Przyjął święcenia pod koniec lat 60. z rąk wielbego Ansona Phelps’a Stokesa, Jra, biskupa episkopalnej diecezji Massachusetts, który był zresztą krewnym Boba. W seminarium duchownym w Bostonie (Episcopal Theological, obecnie Divinity School) Bob przyjaźnił się z Jonathanem Danielsem, młodym duchownym, który, zasłaniając własnym ciałem dwie czarnoskóre dziewczyny, został zastrzelony w wieku 26 lat w 1965 r. przez funkcjonariusza policji w Selmie, w Alabamie. Jonathan Daniels był później nazwany „zapomnianym kaznodzieją praw obywatelskich”, ale Bob nigdy go nie zapomniał: czuł się winny, że tego dnia

nie pojechał z Jonathanem do Selmy. Pewnie dlatego Bob zorganizował i sfinansował pogrzeb Maxwella Itoya, nigeryjskiego ojca trójki dzieci, zabitego w 2010 roku przez funkcjonariusza polskiej policji w czasie interwencji na pchlim targu w Warszawie. Bob Gamble zawsze wystrzegał się tego, co uważał za zachowanie bezsensowne.

Moje wspomnienia o Bobie są zdominowane przez jego działalność kościelną. Kiedyś usłyszałem sformułowanie „ksiądz nad księżmi”. Tak wyraził się harwardzki funkcjonariusz o Humberto Sousa Medeirosie, świętej pamięci arcybiskupie Bostonu. I tak właśnie wspominam Boba. Jego msze bez wyjątku były odprawiane z dużym zaangażowaniem oraz skupieniem, nawet te części liturgii, które wymagają mówienia z pamięci, np. modlitwa *Draw near with Faith* odmawiana tuż przed Komunią Świętą, wymagająca trzymania kielicha i pateny i jednoczesnego zaproszenia wiernych, aby podeszli do ołtarza, by przyjąć sakrament.

W czasie pogrzebu Bobowi oddano honory wojskowe. Ze względu na jego służbę w marynarce wojennej przysługiwała mu również amerykańska Ceremonia Flagi.

Żegnaj, mój Bracie!



Justyna Kardasz

PANA ROBERTA POZNAŁAM W 2002 ROKU, kiedy zaczęłam pracę w wydawnictwie Media Rodzina. Do pracy przyjmował mnie jego najbliższy współpracownik i szef wydawnictwa Bronisław Kledzik. Pan Robert był dla mnie na początku człowiekiem-zagadką. Był właścicielem firmy, ale niezainteresowanym biznesem, wdzięcznym i ufnym, że „zespół” – tak nas zawsze nazywał – świetnie sobie poradzi. Tę wdzięczność podkreślał za każdym razem i od niej zaczynał wszystkie spotkania, i te małe, w kameralnym gronie, i te większe – publiczne.

Jako pracownicy w dziale handlowym często widywaliśmy go, gdy przychodził, tytułując się jako „najlepszy klient”, kupować książki. Gdy zdarzyło mu się którąś zabrać bez naszej wiedzy, zostawiał nam kartkę z informacją „ukradziłem”, a później regulował należność.

Pan Robert był cierpliwy, wszystko znosił. Nie skarżył się, nie narzekał, nie utyskiwał, każdą trudną sytuację przyjmował z wielką pokorą. To była cecha, której najbardziej mu zazdrościłam. Tej pokory i ufności do innych ludzi. A kiedy zdarzały mu się sytuacje przykre, kiedy ukradli mu portfel, po prostu zabrał się do wyrobienia nowych dokumentów.

A kiedy zapomniał kluczy do mieszkania w Warszawie, a rano był umówiony z księdzem w parafii, przespał się w kościele na ławce. Tak po prostu, bez narzekania, rozpamiętywania. Przyjmował wszystko z pokorą: dobrze, że nie ukradli wszystkiego albo że noc nie była wcale taka zimna. Na pytanie, dlaczego nie skorzystał z hotelu, wzruszył ramionami, nie pomyślał o tym.

Pan Robert nie zazdrościł niczego innym ludziom. Owszem, mówił, że jest zazdrosny, ale o książki. Kiedy znalazł książkę o treści, która go poruszyła, robił wszystko, by tę książkę mieć, w znaczeniu – wydać. Najczęściej mu się to udawało, wszyscy znamy historię z *Harrym Potterem*, ale czasem okazywało się, że książka ma już wydawcę, wtedy mówił, że jest zazdrosny i z tej zazdrości boli go brzuch. Ale tak naprawdę daleko mu było do zazdrości.

Pan Robert nie szukał poklasku. Czasem śmialiśmy się, że miał „parcie na szkło”. Książki wydawane przez wydawnictwo Media Rodzina od czasu do czasu zdobywały nagrody, a Bob cieszył się nimi jak dziecko. To były chwile, kiedy mimo wrodzonej skromności i pokory, której był dla mnie uosobieniem, gotów był biec na scenę, żeby tę nagrodę odebrać, żeby za nią podziękować. Z czasem, gdy miał kłopoty z chodzeniem, chcieliśmy mu zaoszczędzić tego trudu i go wyręczyć – odmawiał i udawał, że da radę. Wstępowała w niego niezwykła energia, podrywał się i prawie biegł. Oczywiście zawsze wtedy zaczynał od przedstawienia się i od tego, jak bardzo jest wdzięczny zespołowi wydawnictwa.

Pan Robert był z nami na każdych targach książki i nie było sposobu, żeby go od wyjazdu powstrzymać. Czasem wydawało się nam, że powinniśmy tak zrobić, bo my, wiele lat młodszy, czuliśmy ogromne zmęczenie po każdym dniu targowym, a on tylko machał ręką i mówił, że mu na tym bardzo zależy, że to dla niego ważne. Na stoisku zazwyczaj sam inicjował rozmowę z czytelnikami, zadając sakramentalne pytanie: „Czy pani/pan zna nasze książki?”, po czym prezentował je, a czasem darował. Czerpał z tych spotkań i rozmów ogromną satysfakcję i wielką radość.

A wieczorem zapraszał nas wszystkich na kolację i słuchał naszych wrażeń, a my czuliśmy, że jest z nami całym sercem.

Pan Robert ufał ludziom, we wszystkim pokładał nadzieję. Wydawało nam się czasem, że trzeba go chronić, że jest zbyt ufny, że ktoś może mu wyrządzić krzywdę. Ale on był tego w pełni świadomy, to był jego wybór, taki właśnie chciał być. „Rozumiem, ale ja chcę ufać” – mówił, kiedy staraliśmy się go ustrzec przed podjęciem ryzykownej decyzji. Był w tej ufności niewiarygodnie wręcz uparty, a nawet zawzięty.

Pan Robert założył wydawnictwo, bo wierzył, że książki pomagają. Ale nie był to pomysł na biznes i zarabianie pieniędzy. To była misja, chęć niesienia pomocy. Zaczęło się od książki, która Bobowi pomogła jako ojcu, potem były książki, które miały nas uczyć demokracji, które miały pomagać wyjść z nałogów. Jego ostatnia książka, która miała służyć innym, a której wydania już nie doczekał, to były *Rozmowy z pedofilem*. Wspólnie z Joanną Nowakowską, redaktorką naczelną, przez wiele miesięcy starali się uzyskać zgodę autorki na wydanie książki. Udało się to, niestety, już po śmierci Boba. Pan Robert i Joanna to był niezwykle dobry zespół, dyskutowali o książkach, spierali się, prowadzili godzinne rozmowy o literaturze. Bob tylko z nią i tylko gdy byli sami, rozmawiał po angielsku, z resztą zespołu zawsze rozmawiał po polsku. Najciekawsze, często śmieszne, a czasem bardzo emocjonujące były rozmowy po polsku o języku polskim, które wiodł z panem Bronkiem Kledzikiem.

Sprawami związanymi z firmą, prowadzeniem wydawnictwa, zarządzaniem finansami, kupowaniem praw do tytułów, sprzedażą, księgowością zawsze zajmował się zespół. Pan Robert uczestniczył jednak we wszystkich kolegiach wydawniczych, przysłuchiwał się naszym dyskusjom, czasem w trakcie spotkania mówił: „Ja sugeruję...”, ale najczęściej zabierał głos ostatni. I wtedy zazwyczaj opowiadał o książkach, które w ostatnim czasie przeczytał, które go zainteresowały, które chciałby, żebyśmy wydali.

Byliśmy pewni, że pan Robert wszystko przetrzyma, że zawsze będzie z nami. Nawet w pandemii nie byliśmy w stanie powstrzymać go przed

przyjeżdżaniem do firmy. Najpierw przywiózł nam wszystkim amerykańskie bandany i gumki recepturki, żebyśmy sobie mogli samodzielnie wykonać maseczki, potem poprosił Waldka Matyję, który w ostatnich latach był jego opiekunem, żeby kupił dwa termometry – jeden do domu, drugi miał zostać w wydawnictwie. Przyjeżdżał co środę, żeby spotkać się z nami i dowiedzieć, co słychać. I słuchał. Cały czas nas słuchał, nie doradzał, nie kwestionował decyzji, po prostu słuchał. Zawsze jednak mogliśmy liczyć na jego pomoc. Wielki człowiek, człowiek-legenda.

Ciągle czujemy jego obecność. Ciągle korzystamy z jego powiedzeń. Gdy nam się coś w firmie uda, wtedy mówimy: „Pan Bóg reżyseruje”, ale w głębi duszy wiemy, że to on nam cały czas pomaga, że jest z nami, że nad nami czuwa. Nie gani, ale słucha, wspiera, wierzy w nas, jest nam wdzięczny i ufa nam bezgranicznie.



Beata Kolska-Lach

BOB GAMBLE TO CZŁOWIEK INSTYTUCJA. I z poprawności chciałoby się napisać: „BYŁ człowiekiem instytucją”, ale serce podpowiada – „JEST”... Bo Bob ciągle jest, ciągle będzie...

Pierwszy raz usłyszałam o nim w latach pięćdziesiątych, gdy tworzył Radio Obywatelskie. W uszach brzmiały mi głosy redaktorów stacji, wyrwana ze snu mogły śpiewać piosenkę o laleczce z saskiej porcelany. W natłoku kiczu, plastiku, sztuczności to radio sprawiało, że codziennie miałam poczucie spotkania z dobrymi znajomymi.

Minęło kilka lat i usłyszałam o Bobie, gdy wzięłam do ręki kultową już dziś pozycję A. Faber i E. Mazlish *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły*. Nie wiem, czy ktokolwiek policzył psychologów, pedagogów, wychowawców, nauczycieli, którzy na podstawie tej książki szkolili się, by później prowadzić „Szkoły dla Rodziców”. Tego nie wiem. Wiem natomiast na pewno, że decyzja Boba o jej wydaniu była rewolucją w myśleniu o umiejętnościach rodzicielskich. Okazywało się bowiem, że mówienia do dzieci w taki sposób, by być usłyszonym, można się nauczyć! Że można osiągnąć tajemną wiedzę, jak



23. Ze statuetką Pelikana przyznaną przez Anonimowych Alkoholików (2016).



24. Statuetka Pelikana.

sprawić, by to dziecko chciało z dorosłym rozmawiać, dzielić się z nim swymi przeżyciami i uczuciami.

Musiało minąć kolejnych kilka lat, byśmy poznali się z Bobem osobiście. Szefowałam wówczas poznańskiemu oddziałowi Terenowego Komitetu Ochrony Praw Dziecka. Stowarzyszenie nasze działało już w Poznaniu od ponad 15 lat. Liczba zgłaszających się po pomoc osób, liczba skrzywdzonych dzieci kierowanych na terapię, rodzin na konsultacje, instytucji proszących o interwencję zaczęła być tak duża, że z trudem mieściliśmy się w dotychczasowej siedzibie. Pojawiła się szansa pozyskania nowego lokalu. Władze miasta lokal nam przekazały, musieliśmy jednak wykonać remont. Sufity kilku pokoi prawie stuletniej kamienicy tkwiły na swoim miejscu chyba już tylko na słowo honoru, ze ścian wystawały kable, obłupane kafle i tynki przypominały o dawnej świetności i upodobaniach artystycznych kolejnych malarzy... Takie miejsce zobaczyli Bob Gamble i dyrektor wydawnictwa Media Rodzina – Bronisław Kledzik. Wystarczyła jedna wizyta, by Bob podjął decyzję, że nam pomoże.

Nie przypuszczałam wtedy, że rozmowa w scenerii starej, zdewastowanej kamienicy zapoczątkuje wieloletnią pomoc i wsparcie. A tak właśnie się stało. Coroczne bale charytatywne, na których Bob w szkockiej spódniczce w pierwszej parze rozpoczynał poloneza, konferencje, szkolenia, koncerty szantowe, konkursy dla dzieci i młodzieży, aukcja kuferka z kompletem tomów *Harry'ego Pottera* i autografem J.K. Rowling... O patronat wydawnictwa Media Rodzina zwracaliśmy się wielokrotnie – zawsze mogliśmy na to liczyć.

Nie widzieliśmy się z Bobem długo. Rok temu otrzymałam od niego list. Pisał do mnie poruszony sprawą ujawniania wykorzystania seksualnego dzieci przez duchownych. Chciał działać, pomagać, organizować system wsparcia. Tworzyć miejsca, w których ofiary zostaną wysłuchane. Dopytywał, czy rodzice w Polsce mają wiedzę, jak chronić dzieci przed wykorzystaniem seksualnym i jak je wspierać, gdy takiej krzywdy doświadczą. Siedzieliśmy w siedzibie Terenowego Komitetu Ochrony Praw Dziecka i wspólnie planowaliśmy zorganizowanie jesienią konferencji.

Kolejną datę spotkania ustaliliśmy na początek marca. Wybuchła pandemia, na jakiś czas musieliśmy nasze plany odroczyć. Ale jeszcze wtedy pytał, jak ma nam pomóc... Z coraz większym trudem już chodził, z wyraźnym wysiłkiem podnosił filiżankę do ust, ale starał się, bardzo starał się wsłuchać w nasze potrzeby i zaradzić bieżącym kłopotom... Znów był wizjonerem, pasjonatem, czarodziejem. Znów myślał o innych, nie o sobie.

Bob Gamble – człowiek legenda. Poznaniak z wyboru. Wierzący w siłę wyobraźni. Skromny, dobry, cierpliwy, uważny na to, co drugi człowiek ma do powiedzenia. Przekonany, że zło można zwyciężyć dobrem.

Bobie – takim Cię pamiętamy. Raz jeszcze DZIĘKUJEMY!



Hanna Koźmińska

ZANIM POZNAŁAM OSOBIŚCIE PANA ROBERTA, już dużo o nim słyszałam. Było przecież Radio Obywatelskie, Wigilia pod Rondem. Pan Robert pojawiał się na placu Adama Mickiewicza, pod Krzyżami, w czasie różnych wydarzeń.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy pewnego dnia zapukał do drzwi pokoju w poprzednim wydawnictwie, w którym pracowałam. Tak, to był on, z maszynopisem w ręce. Nie, to nie była propozycja wydawnicza. Po prostu – wracając z Warszawy, przywiózł mi maszynopis z korektą autorską od tłumacza... Zwykły gest. Ludzki. Ułatwiający komuś życie.

A potem, kilkanaście lat temu związałam swoje życie zawodowe z wydawnictwem pana Roberta – z Media Rodziną. To szczęśliwe lata. Zawsze lubiłam słuchać Boba – tak ciekawego świata, książek, ludzi. Lubiłam, gdy zatrzymywał się przy moim biurku, zagadywał, nad czym obecnie pracuję, pytał o jakąś książkę.

Wzruszające było to, jak o nas dbał, osobiście szykował drobne upominki pod choinkę, wymyślając niespodzianki. Cieszyliśmy się, gdy w przeróżnych dziwnych językach śpiewaliśmy *Cichą noc*, czytając tekst

z przygotowanych przez niego kartek. Ale i my staraliśmy się sprawić mu radość, choćby organizując uroczyste obchody 80. urodzin.

Mijające lata odbierały Bobowi siły. Niechętnie korzystał z wyciągniętej do pomocy dłoni, bo przecież sam zaniesie do salki konferencyjnej swoją kawę... Przyznaję, że wywoływał we mnie coraz większą czułość i serdeczne uczucia. Bardzo lubiłam jego uśmiech, który zawsze kojarzył mi się z uśmiechem dziecka.

W mojej pamięci pozostał słoneczny jesienny dzień. To był czwartek. Po dłuższej rozmowie z Bronkiem i paru serdecznych słowach ze mną pan Robert wyszedł z mojego pokoju – powoli, spokojnie, elegancko ubrany, w jasnych spodniach i błękitnej koszuli. Teraz już wiem, dlaczego ten obraz zostanie ze mną na zawsze.



Juliusz Kubel

PO RAZ PIERWSZY Z ROBERTEM GAMBLE’EM zetknąłem się dość nietypowo, bo „na piśmie”. Było to na początku przemian ustrojowych w Polsce, w okresie wielkiego zamieszania u progu lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Pojawiali się wówczas nowi znajomi, a starzy często znikali lub zmieniali branżę. To, co było konspiracją, stawało się jawne. Wszystko odbywało się w pośpiechu i trochę chaotycznie.

W tym też czasie dotarł do mnie list od Roberta Gamble’a. Nie znałem go. Nawet ze słyszenia. A tu przysyła mi list na papierze w kratkę, napisany na maszynie do pisania (kto taką jeszcze pamięta?). Co ciekawe, tekst był rozmieszczony z zachowaniem najmniejszego z możliwych odstępów między wierszami. Właściwie nic mnie nie skłaniało do natychmiastowej lektury. Tekst napisany był po angielsku. Krótkimi zdaniami. Czytanie odłożyłem jednak na później. Zwłaszcza że niewiele mi mówiło nazwisko autora.

W końcu na jednym z dyżurów w prasowej redakcji nocnej (mieściła się tam, gdzie teraz Concordia Design), przeczytałem ten list. Autorowi, do którego za parę lat miałem się zwracać per Bob, chodziło po głowie

jakieś dziwne radio. Takie, które mogłoby nadawać w Poznaniu stonowaną muzykę oraz tematycznie dobrane różne rodzaje piosenek. Przede wszystkim miało to być jednak radio społeczne w swoim charakterze i obywatelskie, gdy idzie o ideę. Sporą część programu miały stanowić prowadzone na żywo rozmowy ze słuchaczami, którzy dzwoniliby ze swoimi przemyśleniami. Stacja określała się nazwą: „Radio, które słucha Ciebie”. Przysłany do mnie list to była propozycja objęcia funkcji organizatora tego radia.

Łatwo się domyślić, że miałem sporo wątpliwości. Nie pamiętam już, jakim kanałem odpowiedziałem Bobowi. Były to kurtuazyjne wyrazy wdzięczności, że zapewne posłuchał czyjejś podpowiedzi i dlatego zwrócił się akurat do mnie. Ale też była to odmowa, uzasadniona moim zawodowym zaangażowaniem w inne medium. Merytorycznej oceny szans radiowego projektu Boba nie podałem, słusznie obawiając się, że na każde zwątpienie typu w Polsce to nie może się udać! – on będzie miał swoje amerykańskie: *why not?*

Po pewnym czasie, gdy Radio Obywatelskie nie spełniało jego oczekiwań, Bob postanowił znaleźć kogoś nowego na stanowisko dyrektora-redaktora naczelnego. W prasie, gdzie wówczas pracowałem, czułem się coraz gorzej, więc wystartowałem w konkursie na wakujące stanowisko. Wygrałem.

Wtedy też spotkałem Boba osobiście. Wcześniej w mojej głowie błąkało się jakieś wąte wyobrażenie osobowości mojego nowego pryncypała. Przypuszczałem, że jest to ktoś, kto prezentuje się jak menedżer z amerykańskiego filmu, wysmukły i elegancki. Tymczasem moja wyobraźnia całkowicie rozminęła się z rzeczywistością. Bob okazał się mężczyzną korpulentnym, dobrze zbudowanym. Lecz mimo masywnej sylwetki rysy twarzy miał jakby chłopięce. Gdyby trzymać się amerykańskiego środowiska filmowego, to podobny był trochę do Matta Damona lub Philipa Seymoura Hoffmana. Na pewno nie do George’a Clooneya. Prawie zawsze tak po amerykańsku uśmiechał się, gdy mówił. Nie było to udawane. Czasem ten uśmiech przyprawiony był nutką zawstydenia czy może onieśmienia.

Rzucał się w oczy jego niewyszukany strój, pozwalający przypuszczać, że troska o elegancję nie wysuwała się u niego przed inne. Do wysublimowanych smaków i przepłaconych dań też nie był przesadnie przywiązany. Raz zaprosił mnie na obiad. Nie zdradzając, dokąd idziemy, zaprowadził mnie do stołówki fabrycznej Zakładów Cegielskiego. Zjedliśmy pomidorową z makaronem oraz mielonego z pyrami i surówką. Potem chodziliśmy tam często. Nie pamiętam, przy którym barowym smakołyku też zrobiłem mu niespodziankę i wyznałem, że w czasach licealnych w stołówce HCP byłem stałym gościem. Boba to ucieszyło.

Uspokojenie miał zdecydowanie pogodne i otaczający świat traktował z życzliwością. Lubił ludzi. Bardzo rzadko się złościł. Zdarzało mu się tupać. Ale były to nieliczne chwile, po których szybko się uśmiechał. No i ten jego język. W jakiejś mierze podobny do polszczyzny, ale sam nazywał ten wynalazek lingwistyczny bodaj językiem gambolskim. Nie zamierzał go ulepszać. Kiedyś, podczas młej pogawędki o tym, dlaczego nie chce swojej polszczyzny doskonalić, powiedział mi, że trochę mu żal, iż nie zna gwary poznańskiej! A przecież stworzył jakby swoją! Stworzył ją, a także stosował. I wszyscy przyjmowaliśmy to ciepło.

W radiu zaczęliśmy od gruntownej przebudowy bazy technicznej. Bob nie żałował na to pieniędzy. Odświeżony został też w dużej mierze zespół. Nie najlepiej działało się za to z audytorium, które było ciągle nieduże, choć wierne.

Nie udało mi się go wystarczająco powiększyć i bardziej zróżnicować, pomimo różnych starań programowych i pozaantenowych, promocyjnych. Były to na przykład organizowane co miesiąc malownicze spotkania przy ognisku nad Jeziorem Maltańskim, gdzie Bob niekiedy zjawiał się w kilcie, swoim narodowym szkockim stroju. Słuchaczki były tą jego spódniczką zszokowane, ale też zachwycone.

Mankamentem radiostacji była mało przejrzysta struktura organizacyjna, uwikłana w schemat wybiegający poza samo radio. Pułapką w tym czasie był też brak własnych dochodów. Działaliśmy wtedy bez reklam,

a radio utrzymywało się w całości ze sponsoringu Boba. Na dłuższą metę to było nie do utrzymania i zdecydowało o braku spodziewanego sukcesu. Choć legendę Radia Obywatelskiego udało się nam stworzyć. I jestem dumny, że w jakimś stopniu się do tego przyczyniłem.

Ze spraw programowych pamiętam, że Bob namiętnie wymyślał „tematy dzienne” do omawiania ze słuchaczami. Dąsał się, gdy próbowaliśmy je zmieniać lub modyfikować. Przysięgał, że „od jutra” od spraw programowych zdystansuje się. Ale „jutro” przemijało i jego liczne zadziwienia światem kazały mu kolejne tematy co jakiś czas jednak podzucać.

Ciepło wspominam jeden z jego ryzykownych pomysłów antenowych. W jego realizacji obaj wzięliśmy udział. Tu muszę wspomnieć, że jedną z ważniejszych form programowych Radia Obywatelskiego były codziennie nadawane (chyba przez pięć dni w tygodniu) rozmowy z telefonicznym udziałem słuchaczy. Nawiasem mówiąc, mała wówczas liczba abonentów telefonicznych stanowiła dla nas znaczne utrudnienie. Ale w studiu przed mikrofonem dyżurował prowadzący audycję wspólnie z zaproszonym współprowadzącym.

Pewnego razu z chłopięcym błyskiem w oku Bob zaproponował, że bym to ja był przez tydzień jego antenowym gościem. Oczywiście padły pod moim adresem trudne do przewidzenia pytania. Jednak jakoś się udało. Dlatego w następnym tygodniu to ja zostałem gospodarzem, a Bobowi zaproponowałem rolę antenowego gościa. Był żywy odzew ze strony słuchaczy. Jedną z pierwszych moich prośb dotyczyła tego, by Bob słuchaczom wyjawiał, dlaczego został pastorem. Dziś to pytanie wydaje mi się trochę nietaktowne, ale audytorium dobrze je przyjęło i czekało na odpowiedź. Bob początkowo unikał odpowiedzi i obiecał, że zrobi to następnego dnia. Audycja się toczyła, godziny mijały, aż nadeszły ostatnie jej minuty. Po raz kolejny pytanie wybrzmiało i zapadło milczenie. W końcu Bob po swoim odchrząknął, uśmiechnął się i stwierdził:

– Jak powiedzieć... Sugeruję, że zostałem księdzem, bo nic dobrze nie umiem zrobić.

Muszę powiedzieć, że po tym żarciku Boba na swój własny temat byłem pod mocnym wrażeniem. Głównie z powodu jego olbrzymiego dystansu wobec siebie samego. Oto pastor, człowiek głębokiej wiary, mówi o swojej funkcji i powołaniu z niewiarygodną skromnością i poczuciem humoru. Czy tak samo potrafił też myśleć o swojej filantropii i innych działaniach społecznych? Czy traktował ją tak, jakby była czymś oczywistym, pospolitym, niewartym uwagi? I zostawił tę swoją odpowiedź na sam koniec audycji! Kiedy nie można było już nic dodać, wytłumaczyć. Czy choćby podziękować.

Gdy mówimy o działaniach charytatywnych, to nie można pominąć Wigilii pod Rondem. Robert Gamble sam finansował prawie wszystkie swoje działania. Także organizację tej wieczerzy dla pokrzywdzonych i wykluczonych. I za to należy mu się wielki szacunek. Bo swoją zamożność i hojność przekształcał w społeczny pożytek. Ktoś powie, że jak się ma w nadmiarze, to i dawać łatwiej. Może to i prawda. Ale poza żywym groszem Bob dawał coś ponadto. Poprzez wybór miejsca wieczerzy sprawiał, że w Wigilię pod Kaponierą przez lata unosił się duch naznaczony obywatelskością, dobrowolnością, oswojeniem wstydu z powodu biedy i samotności. To prowadziło część uczestników do przełamania strachu przed złym stygmatem. Potrzebujący wchodził tu bez lęku, bo przecież mogli łatwo wejść do podziemia, obejść je, zobaczyć, co tam się dzieje. Ale i wyjść, nie skorzystawszy z gościny. A potem znów wrócić i czuć się już pewniej – zarówno wśród potrzebujących, jak i tłumu lepiej sytuowanych poznaniaków, którzy przyszli tu zaśpiewać kolędę.

– Sugeruję, że... człowiek biedny jest jak dziki kot – mówił mi potem Bob. – Da się zaprosić, ale jest czujny i chce znać drogę szybkiej ucieczki.

Trzeba mu coś dać, powinien mieć wybór.

Robert Gamble miał zasady. Tylko niewielka ich część została spisana. Ten ocalały wyjątek z pozorów dotyczy wyłącznie Radia Obywatelskiego. Zastanówmy się, czy tylko? Wystarczy przeczytać to teraz, gdy o „słuchającym radiu” niewiele osób pamięta:



25. Podczas uroczystej sesji Rady Miasta Poznania (2016).
*Zawsze będę Amerykaninem z Bostonu, bostończykiem pochodzenia szkocko-irlandzkiego.
 Ale może od dzisiaj mogę myśleć o sobie, że jestem poznaniakiem.*
 Pamiętne słowa, które Bob wypowiedział w Poznańskim Ratuszu po otrzymaniu
 tytułu Zasłużony dla Miasta Poznania.

26. Zasłużony dla Miasta Poznania (2016).



1. Posługujemy się językiem bez brzydkich słów.
2. Czas dzwoniącego ograniczony jest do 2,5 minuty.
3. Chwalimy lub krytykujemy człowieka za to, co robi lub czego nie robi, a nie za to, kim jest.
4. Tylko Pan Bóg wie, co jest prawdziwą motywacją drugiego człowieka. Dlatego, jeśli nie możemy zacytować wypowiedzi tego człowieka, to powinniśmy powiedzieć: mam wrażenie, że taka jest jego motywacja.
5. Podczas programu gospodarz nie ma prawa do wyrażania własnej opinii – gość ma takie prawo.

Niesiony falą powodzenia po wydaniu w Media Rodzinie kilku moich książek gwarowych, pewnego razu przeczytałem Robertowi tłumaczenie tych zasad na naszą poznańską mowę. Powstało ono z żartobliwą myślą o lepszym zrozumieniu zasad przez szerszy krąg mediów i w jakimkolwiek języku, naszej gwary nie wyłączając.

1. Godomy ino bez frechownych ausdruków.
2. Czas tegó, co dryndo, to jest aby kwotyryka z dziesiyńciu minut.
3. Świcymy bakę albo obrąbiomy motykę jakyigoś istnego ino za to, co tetro abo nie tetro, a nie zaś za to, co to jest za jeden.
4. Jedyn Pón Bóg aby wiy, co rychtyk drugiogo człowieka do czegoś pko. Bez to, jak nie mogymy wprost godać to samo co ten istny godo, to powinni my chociaż stwiyrdzić: że aby tak nam się zdaje, że gó pko to, co gó pko.
5. Jak nadawają program, to tyn główny, co kieruje blubrami do mikrofonu, ale na stałe – to wew wogle nie mo prawa godać, co myśli. Aby tyn jegó pomagier może. Ale ten na stałe to nie!

– Jak powiedzieć ... – skomentował po gambolsku tę moją wersję Bob (cytuję z pamięci): – Mam wrażenie, że prawie nikt nie robi już chyba z tymi zasadami. Sugeruję... że może teraz język za dużo... wyprzedza myśli?

Skoro jesteśmy przy języku, to chciałoby się teraz napisać coś o Robertie Gamble'u – właścicielu książkowego wydawnictwa Media Rodzina. Jest jednak pewna komplikacja. Mam to szczęście, że w ogromnym dorobku wydawnictwa jest też kilka moich pozycji. Tym samym każde dobre słowo pod adresem wydawcy lub właściciela może wydać się podejrzanym. Dlatego jedynie sugeruję, że Bob był inspiratorem i dobrym duchem oficyny. Lubił autorów i ich dzieła. Gdy idzie o moje osobiste doświadczenia, to o ile pamięć mnie nie myli, Bob był chyba obecny na wszystkich spotkaniach premierowych promujących moją twórczość. I dodawał mi otuchy. Różnie to się przejawiało. Przychodzi mi do głowy wspomnienie najskromniejsze. Oto dyżurowałam przy pomniku Starego Marycha ze stertą książek do podpisania. Obok mnie stał przez parę godzin Bob. Pomagał mi, a sam świetnie się bawił. Wszystkim podchodzącym czytelnikom zadawał to samo pytanie:

– A jak miał na imię Stary Marych?

Co ciekawe, niektórzy się zastanawiali. Trafne odpowiedzi były premiowane książką w promocyjnej cenie.

Robert Gamble to w pewnym sensie obywatel świata, a przecież tak mocno był związany z Poznaniem. Zostawił tu po sobie dużo ważnych znaków, które będą jeszcze długo i rozmaicie deszyfrowane. Także i doceniane. Będziemy go wspominać latami. Może tak długo, aż myśl znajdzie się bliżej słowa.



Karolina Kurowska

POZNAŁAM PANA ROBERTA NIEPEŁNA 20 LAT TEMU. Długo zastanawiałam się, czym on się różni od nas wszystkich. Był właścicielem firmy, a zajmował bardzo skromny pokój. Dbał o to, by nam wszystkim pracowało się dobrze. Nigdy nie myślał o sobie. Największą przyjemność czerpał z dawania, a nie brania. Świąteczne prezenty dla pracowników firmy były zawsze przemyślane, zawsze miały coś na celu. Pan Robert pakował je i wręczał każdemu osobiście. Te małe rzeczy sprawiały mu ogromną radość. Nam również.

Najbardziej utkwiła mi w głowie pewna sytuacja. Dużo też dzięki niej zrozumiałam. Miało to miejsce kilka lat temu. Krótco po Pierwszej Komunii mojego syna przyniosłam do pracy album ze zdjęciami z uroczystości. Tego dnia przyszedł do mojego pokoju pan Robert. Zauważył album i zapytał, czy może go zobaczyć. Oglądał, rozczulał się nad każdym zdjęciem. Na końcu popłynęły mu łzy. Pamiętam ten moment jak dziś. Nie wiedziałam, co się stało. Bałam się, że mogłam go czymś urazić. Po chwili wyjaśnił mi, że nie mam się martwić, że to nie moja wina. To

on, oglądając zdjęcia, zrozumiał, w jak ważnym momencie życia jego dziecka nie było go przy nim.

Panie Robercie, zaraził mnie Pan swoją pokorą. To najcenniejsza cnota. Pracuję nad nią i staram się przekazywać ją dalej.

Nasze rozmowy telefoniczne zawsze kończył Pan słowami: „Dobrze, że jesteś. Szczęść Boże”. Dziś ja żegnam Pana, mówiąc: „Dobrze, że byłeś. Spoczywaj w pokoju”.

Będzie mi Pana brakowało.



Waldek Matyja

PAN BOB GAMBŁOWSKY.

Tak mówiłem do Boba, kiedy w naszych rozmowach żartowaliśmy z jego specyficznego posługiwania się językiem polskim.

Kim był Bob? Był wielkim, dobrym, wyrozumiałym, skromnym, dobrodusznym uparciuchem! Ten jego upór i konsekwencja prowadziły do tego, że osiągał swoje cele, jednocześnie jednak otwierały się przed nim serca wielu ludzi. Tak było, gdy nawiązał z nami kontakt pod koniec 1989 roku i wręcz zmusił moją mamę i mnie do tego, aby nagrać wspomnienia o moim ojcu. Tak zaczęła się nasza przyjaźń.

Bronisław Kledzik powiedział kiedyś, że Robert miał dość nonszalancki stosunek do pieniędzy. Myślę, że mogę to potwierdzić, ponieważ gdy opiekowałem się Robertem w czasie, gdy podupadł na zdrowiu, musiałem, kiedy – jak to określiła pielęgniarka pani Maryla Stefaniak – „odgruzowywać” jego mieszkanie, znalazłem na półce za książkami torbę foliową ze starymi polskimi banknotami – przeddenominacyjnymi. Było tego sporo. Gdy pokazałem je Bobowi i spytałem, skąd tam się wzięły, odpowiedział:

– O! Zapominałem.

Innym razem, kiedy pożyczyłem od Roberta pieniądze i przez parę miesięcy oddawałem mu je w ratach, gdy przychodził na kawę, kładłem je w kopercie obok niego, a on chował je pod serwetkę i „zapominał”. Po jego wyjściu zauważyłem to i dzwoniłem, że zaraz mu je przywiozę, wtedy on odpowiadał stale to samo:

– Zapominałem, ale będziesz miał na benzynę, jak pojedziesz do swojego brata Pawła do Düsseldorfu.

Robert kilka razy dofinansował pobyt mojej sparaliżowanej mamy na wczasach rehabilitacyjnych, ponieważ NFZ pokrywał tylko 60% ceny pobytu. Pomagał wielu ludziom, ale niestety nie dbał o siebie i nie był skłonny do tego, aby pozwolić sobie pomóc. Nigdy jednak się nie skarżył, nie narzekał oraz nigdy nie mówił o nikim źle.

Ostatnie lata, kiedy to po przejściu na emeryturę opiekowałem się Robertem, bardzo nas do siebie zbliżyły. Opieka nad osobami schorowanymi w podeszłym wieku to nie jest łatwe. Muszę jednak przyznać, że Robert był tak łagodnym, pogodnym i kulturalnym człowiekiem, że czasami byłem zakłopotany, że ciągle mnie przeprasza za swoją niesprawność oraz trudności i kłopot, jaki przysparza swoją osobą.

Robert był dla mnie przykładem, jak można z godnością znosić przykre dolegliwości chorobowe, zachowując jednocześnie pogodę ducha i aktywność w kontaktach z ludźmi. Pamiętać będę, że największą satysfakcję sprawiały Robertowi rozmowy z ludźmi, nawet jeśli nie do końca rozumiał, co oni do niego mówią.

Bob, pozostaniesz zawsze w mojej pamięci. Będę wspominał nasze codzienne rozmowy przy kawie, kiedy przysypiałeś podczas moich zbyt długich monologów. Będzie mi brakować naszych codziennych jednominutowych przechadzek, podczas których uczyłeś mnie angielskiego.

Żegnaj, Przyjacielu, dziękuję za to, że byłeś.



Alicja Mielcarzewicz-Cabanek

PANA ROBERTA POZNAŁAM W 2001 ROKU, kiedy zjawiłam się w wydawnictwie na praktykach studenckich. Był dużym, wysokim i atletycznie zbudowanym mężczyzną, którego myśli były zaprzątnięte wielkimi ideami, przez co sprawiał wrażenie wiecznie roztargnionego. Zawsze był w drodze. Widzę jego ogromną postać z dwoma wielkimi i bardzo ciężkimi skórzanymi kuframi wypełnionymi po brzegi książkami. Znikał z nimi w piątek, by wrócić na Pasiękę w poniedziałek, jeszcze bardziej objuczony.

Pod koniec 2001 roku, kiedy pracowałam jako asystentka w dziale promocji dwa dni w tygodniu, dostałam od pana Roberta kopertę. Byłam przekonana, że to życzenia świąteczne, bo wręczał ją ubrany w czerwoną czapkę Świętego Mikołaja (co szybko stało się doroczną tradycją). Gdy otworzyłam kopertę, czekając na przystanku na tramwaj, dosłownie mnie zatkało. Okazało się, że to premia w podziękowaniu za pracę przy promocji *Harry'ego Pottera*, który tego roku odniósł niebywały sukces. Olbrzymia kwota dla pochodzącej z niezamożnej rodziny studentki. Wtedy pierwszy raz poczułam się pełnoprawnym członkiem Media

Rodziny, pojmując, że pan Robert, choć sprawiał często wrażenie nieobecnego, tak naprawdę dostrzegał i doceniał obecność oraz zaangażowanie każdego człowieka ze swojego otoczenia.

Z biegiem czasu, kiedy pan Robert spędzał więcej czasu na Pasiece, a nasze kontakty stały się częstsze i serdeczniejsze, rósł we mnie podziw dla jego chęci pomagania innym (kalendarz Boba wypełniony był spotkaniami z przeróżnymi oryginałami próbującymi przekonać go do najdziwniejszych projektów). Zadziwiał mnie nieustającą ciekawością świata, gotowością do nauki i poznawania nowinek, a przede wszystkim mentalną młodością, która nakazywała mu pozostawać w ruchu niezależnie od nieubłaganej pogarszającego się stanu zdrowia.

Ostatni mail od Boba, już ze szpitala, otrzymałam w odpowiedzi na newsletter wysłany z informacją o udziale pracowników wydawnictwa w Strajku Kobiet w październiku 2020 roku. Bob napisał wówczas, że kiedy wyzdrowieje, też weźmie dzień urlopu, żeby zaprotestować. To była kwintesencja pana Roberta: zawsze błyskotliwy, zawsze zaangażowany i zawsze opowiadający się po stronie potrzebujących wsparcia.



Joanna Nowakowska

ZNAŁAM BOBA PRZEDDE WSZYSTKIM JAKO CZŁOWIEKA KSIĄŻKI. Miał MA in English, stopień magistra anglistyki. Amerykański odpowiednik pracy magisterskiej pisał z Kiplinga. Jego pokój w naszym biurze na Pasiece był zawsze zavalony książkami.

Bob czytał wszystko – książki dla dzieci, dla młodzieży, dla kobiet, psychologię, literaturę faktu, historię. Szczególnie interesowała go najnowsza historia Polski, obalenie komunizmu, kształtowanie się demokratycznych instytucji państwowych. Uwielbiał książki zaangażowane społecznie; sam miał bardzo wysoko rozwiniętą postawę obywatelską. Nie wiem, jak to ująć, żeby nie zabrzmiało zabawnie, ale Bob uwielbiał policję. Media Rodzina wydała kiedyś kilka książek o tej tematyce, i z literatury faktu, i z beletrystyki: *Przełom*, *Gliny*, *Wybite szyby*. Na Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie w roku 1999 sprowadził dla nas z Nowego Jorku granatowe koszulki z emblematem NYPD. Mam ją do dziś.

Bob rozczulał nas takimi właśnie prezentami, które świetnie odzwierciedlały jego znakomite, czasem zadziorne poczucie humoru. Pewnego

dnia poprosił wszystkich o zmierzenie obwodu głowy. Pracowicie zebrał wszystkie miary, przeliczył je na cale i zamówił dla każdego z nas kowbojskie kapelusze! Sprezentował nam również kowbojskie bandany we wszystkich kolorach tęczy. Nawet w rozmiarze dziecięcym, specjalnie dla naszych pociech! Moja córka w wózekku nosiła turkusową. A mój mąż nosił niebieski krawat w kratę, prosto ze Szkocji. Bob lubił symbole, lubił małe rzeczy, które pozwalają się utożsamić i celebrować tę tożsamość. Lepiej się żyje, gdy człowiek gdzieś przynależy i czuje tę przynależność. Bob, choć żył okrakiem nad Atlantykiem – a może właśnie dlatego, że żył okrakiem nad Atlantykiem – rozumiał to doskonale.

Każdy, kto znał Boba, potrafił zacytować któreś z jego powiedzonek. Te najmniej gramatyczne były oczywiście największymi hitami, i to one przyjęły się do naszego firmowego języka. Pożyczając książkę z czyjejś półki, zawsze zostawiamy karteczkę, pisząc „ukradziłem”. Ja sama już chyba zapomniałam, jak ta forma brzmi prawidłowo... Bob doskonale czuł, że jego błędy gramatyczne nas kręcą, że przykuwają uwagę, intrygują.

Był urodzonym duszpasterzem, potrafił mówić i pisać jak nikt inny i pielęgnował ten swój dar. Czasem wysyłał mi swoje polskie kazania do poprawienia, „ale nie za bardzo”. To było piekielnie trudne i rozbijające śmieszne zadanie: zredagować polski tekst tak, żeby był pełen błędów. Zawdzięczam mu jedyną w swoim rodzaju karierę redaktora, który rozmyślnie zostawia w tekście błędy. Karierę specjalisty od języka gambolskiego, którym władam dość biegle i którego używam wtedy, gdy mi smutno.

Bob książki pożerał. Czytał szybko i we wszystkich postaciach – książka drukowana, ebook, maszynopis. Czytał wszędzie i o każdej porze. Rano wpadał do mojego pokoju z euforią wymalowaną na twarzy i już wiedziałam, że książka była dobra. Zapalał się jak dziecko. Dawał się porwać książkom, tak jakby czytał po raz pierwszy w życiu. Jakby nagle odkrył radość czytania, choć wydawał książki od trzech dekad.

W redakcji mamy powiedzenie jego autorstwa, które urosło już do rangi kategorii krytyczno-literackiej. Recenzując beletrystyczne propo-

zycje wydawnicze, oceniamy je pod kątem *author's hand*, „ręki autora”. Diabeł by się nie domyślił, o co chodzi, ale dla nas jest to oczywiste. Bob miał teorię, że słabe książki poznać po tym, że autor popycha swoich bohaterów palcem, żeby mówili i robili to, co autorowi jest potrzebne, a co niekoniecznie wynika z psychologii postaci. W dobrych książkach ręki autora nie widać.

Bob pochłaniał psychologię. Miał ogromną wiedzę z tej dziedziny i niezawodny radar nowości. Czytał i wydawał wyłącznie autorów akademickich, ze stopniem naukowym i osiągnięciami w psychologicznej praktyce. Nazywał to *solid psychology*. Rzesze polskich psychologów, profesorów i studentów korzystają dziś z książek autorów, których Bob wprowadził do Polski: Daniel Goleman, Martin Seligman, Alice Miller, Lise Eliot, Melody Beatty...

Był otwarty na każdy gatunek i każdą tematykę. Żyliśmy w wiecznej niepewności, co nowego Bob przyniesie... Przynosił i skarby, i niewypały. Często hamowaliśmy jego zapędy; zwłaszcza na pana Bronka spadało to trudne zadanie. Jednak Bob się podporządkowywał. Był uparty, ale nigdy nie stawiał na swoim za wszelką cenę. Nigdy też nie interesował go zysk, choć uwielbiał mieć bestsellery. Interesowało go tylko to, czy książka jest dobra. Gdy mówił, że cierpi na ból brzucha, to wiedzieliśmy, że jakiś inny wydawca wydał to, co jemu się podobało. To był ból brzucha z zazdrości. Wiedzieliśmy też, że przy okazji prezentuje nam wszystkim egzemplarz tej książki, kupiony u innego wydawcy.

Boba interesował los wszystkich, którym jest w życiu ciężiej. Interesowały go prawa dzieci, kobiet, więźniów, ofiar, sprawców. Gdy wybuchł Ogólnopolski Strajk Kobiet, Bob był już w szpitalu. Na wiadomość o tym, że postanowiliśmy dołączyć do strajku i jeden dzień nie pracować, napisał, że nas popiera i że gdy wyjdzie ze szpitala, też będzie w tej intencji jeden dzień strajkował...

Im dłużej z nim pracowałam, tym jaśniej widziałam, że Bobowi tak naprawdę nie zależy na firmie. Nie zależy mu na Poznaniu, na Polsce, nie zależy mu nawet na Ameryce. Bobowi zależało na ludziach. Wydawanie

książek to była ciągła misja polepszania życia ludziom. Musiał wydawać książki o mądrym wychowaniu, bo od sposobu wychowania zależą nasze relacje z innymi, a więc pośrednio całe życie społeczne, polityka i losy świata. Musiał wydawać książki psychologiczne, o wychodzeniu z uzależnień, o walce z przestępczością, o rasizmie, o pedofilii. To był głęboki przymus, bo Bob cierpiał na nieuleczalny syndrom naprawiania świata. Choć żył i mieszkał sam, choć był wielkim indywidualistą, to zawsze czułam, że za jego myśleniem stoi moc idei i rzesza ludzi, którym Bob kiedyś pomoże, choć oni sami o tym jeszcze nie wiedzą. Jego inicjatywy zawsze miały większy, szerszy cel. Spektakularny sukces nigdy nie wynika z partykularnych interesów; świat tak po prostu nie działa. A Bob był ze wszech miar człowiekiem spektakularnym.



Aleksander Pikosz

ROBERTA D. GAMBLE'A WSPOMINAM JAKO WSPANIAŁEGO, szlachetnego człowieka, życzliwego ludziom i skromnego, wielkiego społecznika.

Jako dyrektor Poznańskich Zakładów Graficznych miałem okazję go poznać w trakcie wieloletniej współpracy z wydawnictwem Media Rodzina. Nigdy nie było żadnych sporów wynikających z realizacji umów między drukarnią a wydawnictwem, nasza współpraca układała się wzorowo. Spośród naszych licznych spotkań najbardziej utkwiły mi w pamięci te, które łączyły się z momentami zaskakującymi, a czasem nawet humorystycznymi. I takie właśnie sytuacje pragnę przypomnieć.

Pierwszą książką, którą wydawnictwo Media Rodzina zleciło nam do druku, był poradnik *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły*. Po wydrukowaniu całego nakładu pan Robert wraz z dyrektorem wydawnictwa, panem Bronisławem Kledzikiem przyszli do mnie, aby zapłacić za wykonaną usługę. Pan Robert kazał poprosić kasjerkę, bo płacił gotówką. Po przyjściu kasjerki, ku zaskoczeniu zarówno mojemu, jak i pozostałych osób, pan Robert odwrócił się tyłem do nas, opuścił część spodni i wyciągnął woreczek foliowy z gotówką.



27. Gratulacje składa Bobowi Aleksandra Banasiak, przewodnicząca Stowarzyszenia „Poznański Czerwiec '56” (2016).



28. ...oraz gwarą poznańską Juliusz Kubel (2016).

Następnie przekazał pieniądze kasjerce, ażeby przeliczyła, czy wszystko zgadza się z fakturą. Kwota zgadzała się co do złotych. Gdy kasjerka wyszła, zdumiony zadałem panu Robertowi pytanie, dlaczego w ten sposób przechowuje pieniądze. Odpowiedź dał mi następującą: „Już mnie raz ukradzili, więc dla bezpieczeństwa najlepiej głęboko schować większą gotówkę”. Trzeba nadmienić, że było to na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

Kolejne zdarzenie dotyczyło jednego z tomów serii książek o Harrym Potterze, zatytułowanego *Harry Potter i Czara Ognia*. Było to w 2001 roku. Dystrybucja tego tomu została ustalona na godzinę 24.00, od której drukarnia miała zacząć wydawać książki hurtownikom. Ci domagali się jak najszybszego odbioru książek, harmonogram musiał być jednak przestrzegany. W godzinach rannych Robert Gamble wraz z dyrektorem Bronisławem Kledzikiem przybyli na teren drukarni. Jednocześnie zaprosili telewizję, ażeby pokazać gotowe książki zapakowane na paletach i zabezpieczone. A nakład był ogromny – około 500 tysięcy egzemplarzy! Po obejrzeniu i sfilmowaniu przez telewizję wydrukowanych książek każdy wychodzący z drukarni był poddawany kontroli osobistej, ażeby jakiś egzemplarz „przypadkowo” nie trafił na rynek. Ku zdumieniu pana Roberta on sam również został poddany kontroli osobistej, tak jak wszyscy pracownicy drukarni.

Inne zaskoczenie miało miejsce w Edynburgu, na spotkaniu z J.K. Rowling, autorką cyklu o Harrym Potterze. W spotkaniu tym brała udział grupa pracowników wydawnictwa Media Rodzina oraz ja jako przedstawiciel drukarni. Spotkanie to, z okazji premiery filmu o Harrym Potterze, zorganizowali członkowie parafii Kościoła Anglikańsko-Episkopalnego w salce parafialnej. Zadbali o nasze dobre samopoczucie w ten sposób, że każdy siedział przy stoliku z rodziną szkocką. Ponieważ ja nie znam języka angielskiego, więc byłem zdany na ewentualne tłumaczenie pana Roberta. Ku mojemu zadowoleniu rodzina, z którą dzieliłem stolik, znała język niemiecki i mogłem z nimi prowadzić konwersację po niemiecku. Gdy pan Robert podszedł do naszego stolika z panią

Rowling i rozpoczął rozmowę po angielsku, okazało się, że rodzina szkocka wszystko już wie o druku *Harry'ego Pottera* w Polsce. Gdy wracaliśmy do kraju, pan Robert jeszcze w samolocie wracał do tej sytuacji.

Kolejne wspomnienie związane z panem Robertem Gamble'em dotyczy Wigilii, które on organizował dla bezdomnych pod rondem Kaponiera w Poznaniu. Miał taki zwyczaj, że zapraszał zaprzyjaźnione osoby do czytania fragmentów Pisma Świętego oraz śpiewania kolęd. Jakież wielkie było zaskoczenie pana Roberta, gdy przyszliśmy na taką Wigilię w grupie drukarzy z działu offsetowego i introligatorni, angażując się w czytanie Pisma Świętego. Pan Robert długo i z wdzięcznością wspominał to przy kolejnych spotkaniach.

Pana Roberta będę zawsze wspominał jako człowieka o ogromnym sercu, pogodnego i dobrego, służącego pomocą ludziom znajdującym się w potrzebie.



Bożena Plota

ŻYCIE PISZE RÓŻNE SCENARIUSZE. W moim pojawił się Amerykanin szkocko-irlandzkiego pochodzenia, pastor Robert Gamble. Nie wiedziałam wówczas, jak ważną rolę odegra w moim życiu, i chyba nie zdawałam sobie sprawy z wagi tego spotkania. Gdybym wiedziała, słuchałabym go jeszcze uważniej, notowałabym częściej i skrzętniej przechowywałabym zapisywane przez niego kartki.

Mój pracodawca i szef był dla mnie niesamowitym autorytetem, doradcą i wsparciem w wielu sytuacjach. Był jak ojciec. Tłumaczył i objaśniał świat, który dla nas, wówczas dwudziestokilkulatków, nie zawsze był zrozumiały. Podarował mi bezcenną naukę odkrywania w radiu teatru i posłannictwa, w sobie spokoju, a w ludziach dobra. Nauczył mnie słuchania, szacunku dla drugiego człowieka i niepoddawania się w dążeniu do celu.

Taki właśnie był, trochę jak nie z tego świata: skromny, słuchający, łagodny, cierpliwy i uśmiechnięty. Zachwycał prostymi prawdami, które przypominał każdego dnia, rozpoczynając program Radia Obywatelskiego. Słuchacze uwielbiali jego naturalność i poczucie humoru. Zdarzyło

się kiedyś w nocnej audycji, że zmęczony zasnął i głośno chrapał, siedząc przy mikrofonie, w czasie wypowiedzi słuchaczki. Wydawca audycji patrzył przerażony zza szyby, jak pan Robert z wrodzoną kulturą i z uśmiechem powiedział:

– Oooo! Zasnąłem! Przepraszam! Ooooo.

Innym razem, kiedy nam, młodym dziennikarzom, przytrafiła się wpadka, uspokajał nas, mówiąc ze swoim łagodnym uśmiechem:

– Poznań przeżyje, Pan Bóg reżyseruje.

Robert Gamble pokazał mi krainę zwaną Narnią, którą czytaliśmy w radiu. Wielokrotnie przechodziliśmy razem przez szafę na drugą stronę, gdzie wszystko było inne, wyjątkowe, zagadkowe i niesamowite. Niejednokrotnie opowiadał mi o Narnii, tłumacząc zdarzenia, symbole i znaki. Niepostrzeżenie podnosił poprzeczkę, żeby wymagać więcej, i to więcej stawało się normą.

Dziś, trzydzieści lat później, wiem, jak bardzo był wrażliwy i dobry. Nieraz widziałam w jego oczach łzy i płakałam razem z nim, nie mogąc ukryć wzruszenia. Doceniam jego mądrość, cierpliwość, bezinteresowność i łagodność. Robert Gamble dał mi siłę, bezcenną pewność siebie i pewność tego, że Narnia będzie zawsze. W książkach, w pamięci, w sercu i w naszej wyobraźni.

Dziś pisząc te słowa, kiedy widzę za oknem padający śnieg, znów jestem z Panem w Narnii. To szczęście, że Pana spotkałam i mam gdzie się schronić.

Kochany Panie Robercie, tak bardzo tęsknię!



Stawek „Spiker”

PO RAZ PIERWSZY SPOTKAŁEM ROBERTA GAMBLE’A I JEGO KSIĄŻKI W czasie konferencji trzeźwościowej zorganizowanej przez niego z okazji 25. rocznicy powstania Wspólnoty Anonimowych Alkoholików w Polsce, która odbyła się w 1999 roku w Poznaniu. Bob zaprosił wtedy osoby, które realnie przyczyniły się do powstania AA w Polsce: dra Wierzbickiego z Warszawy, mgr Marię Grabowską i dr Danutę Dudrak z Poznania oraz dra Bohdana T. Woronowicza z Warszawy. Wtedy też po raz pierwszy na stoisku zobaczyłem książki o uzależnieniach wydane głównie przez wydawnictwo Media Rodzina.

Przez następnych kilka lat spotykałem się z Bobem sporadycznie na mityngach aowskich. W czasie któregoś z nich na początku 2005 roku Bob opowiedział mi o swoich doświadczeniach z Bostonu, gdy jako pastor bywał w ośrodkach leczących alkoholików. Odbywały się tam również mityngi AA przeznaczone dla wszystkich zainteresowanych. Marzeniem Boba było zorganizowanie takich mityngów w Poznaniu. Bob dwukrotnie podejmował taką próbę, organizując za swoje pieniądze w siedzibie NOT-u w Poznaniu otwarte mityngi spikerskie. Niestety nie



29. Media Rodzina w komplecie. Jubileusz 25-lecia wydawnictwa (2017).

30. Jubileusz 25-lecia Media Rodziny. W imieniu jubilatów przemawia prezes jubilatów (2017).



31. Jubileusz 25-lecia Media Rodziny. Dwaj panowie B. Jeden z wilczkiem, drugi z lisem od Józefa Wilkonio (2017).



spotkały się one z większym odzewem. Niezrażony niepowodzeniami postanowił po raz trzeci spróbować. Zaproponował mi prowadzenie takich spotkań w okresie Wielkiego Postu w 2005 roku. I tak to się zaczęło. Sala NOT-u pękała w szwach na każdym z sześciu spotkań. Pewnym *novum* było to, że brali w nich udział nie tylko alkoholicy wychodzący z uzależnienia, ale również ich żony, partnerki czy nawet dzieci.

Z przyjaciółmi z grupy AA „Sobótka” postanowiliśmy, już samodzielnie, prowadzić takie mityngi w każdą niedzielę w salce franciszkanów na Wzgórzu Przemysła w Poznaniu. Bob wspierał nas cały czas mentalnie i to dzięki jego koneksjom mogliśmy zapraszać na nasze spotkania ludzi, którzy tworzyli świat trzeźwościowy w Polsce: prof. Wiktora Osiatyńskiego, dr Ewę Woydyłło-Osiatyńską czy dra Bohdana T. Woronowicza. Czasami Bob zapraszał na te spotkania jako spikerów Amerykanów przebywających czasowo w Polsce, np. policjanta z Chicago czy pilota samolotów F-16 z Teksasu. W tym też czasie, za namową Boba, założyliśmy stronę internetową www.spikerpoznan.pl, na której umieszczaliśmy nagrania realizowane na mityngach.

Otwarte mityngi spikerskie na Franciszkańskiej przetrwały 12 lat, a obecnie są realizowane raz w miesiącu w ośrodku leczenia uzależnień w Charcicach. Podczas mityngów aowskich Bob zaraził mnie książkami o uzależnieniach. Znając z autopsji trudności występujące w początkowym etapie wychodzenia z nałogu i rolę dobrej literatury pomocowej w tym okresie, jakby przy okazji zająłem się promocją tej literatury na spotkaniach trzeźwościowych w Polsce, a później za namową Boba w Europie Zachodniej na spotkaniach polskojęzycznych grup aowskich w Carlsbergu, Brukseli, Paryżu, Kolonii czy Hamburgu. Bob często odwiedzał mnie na stoiskach w Licheniu, Wrocławiu czy Warszawie, gromadząc zawsze wokół siebie wielu interlokutorów i normalnych ciekawskich.

W 2016 roku Kapituła Konkursu „Pelikan” przyznała Robertowi Gamble’owi nagrodę za wkład w propagowanie trzeźwości w Polsce. Nagroda ta przyznawana jest corocznie przez licheńskie Centrum Pomocy

Rodzinie i Osobom Uzależnionym. Bob odbierał ją osobiście w czasie ogólnopolskiego spotkania trzeźwościowego w Licheniu w obecności trzydziestotysięcznej widowni.

Ostatni raz Bob zadzwonił do mnie ze szpitala przy ulicy Szwajcarskiej w Poznaniu, informując, że dopadł go wirus. A tyle jeszcze miał planów...



Wojciech Widłak

PAN ROBERT BYŁ PRZYJACIELEM PANA KULECZKI. Może w jakimś sensie też sam był Panem Kuleczką? Emanował spokojem, nie mówił ani nie działał pochopnie, dzielił się sobą – swoim czasem i tym czymś, co trudno nazwać, a co na pewno jest ważne.

Najbardziej kojarzy mi się z targami książki, bo tam najczęściej dane mi było go spotykać. W Poznaniu, Krakowie czy Warszawie chadzał między targowymi gośćmi, zamieniając co jakiś czas dwa słowa i rozdając naklejki czy zakładki z książkowymi bohaterami. Nieraz widziałem, jak na stoisku Media Rodziny zdejmuje z półki jakąś książkę i wręcza ją w prezencie zaskoczonemu czytelnikowi, który chwilę wcześniej się nią interesował. Ale pan Robert dbał nie tylko o czytelników – o autorów również. Jeśli któryś z nas siedział przy targowym stoliku i miał dłuższą przerwę w podpisywaniu książek, czujne oko pana Roberta dostrzegało to natychmiast. Nie pozwalał poczuć się samotnym. Dosiadał się i prowadził rozmowę, ale dyskretnie usuwał się na dalszy plan, gdy tylko pojawiał się jakiś łowca autografów.



32. W salce konferencyjnej Media Rodziny (2017).



33. Na fotografii wiszącej na ścianie salki konferencyjnej Bob w towarzystwie J.K. Rowling i Bronisława Kledzika.

Nie wiem, kto w 2009 roku wpadł w Media Rodzinie na pomysł, żeby na targi książki, bodaj we Frankfurcie, wydać po angielsku szczególny katalog – z pełnym tekstem pierwszego tomiku *Pana Kuleczki*. Wiem natomiast, kto go przetłumaczył – właśnie pan Robert. A przecież na brak zajęć z pewnością nie mógł narzekać.

Kiedy zaproponował, że angielska wersja nazwiska bohatera to Mr. Butterball, oboje z Elą Wasiuczyńską (ilustratorką) byliśmy nieco skonfundowani. A może Mr. Cooletchka? Albo Mr. Koolechka? Albo w ogóle inaczej – Mr. Donut albo Doughnut? Pan Robert z anielską cierpliwością uzasadniał swój wybór, objaśniając między innymi różnice między dziecięcym a nastoletnim odczuwaniem pojęcia „cool”, polskimi a amerykańskimi pączkami oraz odmiennymi skojarzeniami, jakie rodzą się u anglojęzycznych odbiorców na dźwięk słów *balls* i *ball* (tu cytuję: *unless one is talking about left or right*). O powadze, z jaką traktował całą sprawę, najlepiej świadczy fakt, że mejl, który do nas wysłał, liczył sobie – bagatela – 1007 słów (prawie 6000 znaków!). Odwołał w nim się do wielu kwestii językowych, ale także do swojego dzieciństwa i wspomnień masła, które podawano w formie kulek – *butterballs* właśnie. Nie mogliśmy nie ulec całej tej argumentacji, choć przyznam, że mnie chyba najbardziej ujęło ostatnie zdanie rozbudowanego listu, wiele mówiące o jego autorze: *But you are the authors, whatever you decide is fine with me*. I tak Pan Kuleczka w tym do dziś jedynym opublikowanym angielskim przekładzie to Mr. Butterball, a pozostali bohaterowie to kaczką Catastrophy (Strophie), pies Itsy-Bitsy (Bits) i mucha Buzz-Buzz.

Właśnie muchy (choć w gruncie rzeczy czegoś zupełnie innego) dotyczyła pewna ważna rozmowa, którą odbyliśmy – znów – w czasie targów książki. Jakiś czas wcześniej napisałem wyjątkowe opowiadanie z Panakuleczkowego cyklu. Wyjątkowe, choć rozgrywa się w mieszkaniu Pana Kuleczki i występują w nim pies Pypeć, kaczką Katastrofa i mucha Bzyk-Bzyk. Wyjątkowe, bo dotyka ono bezpośrednio spraw ostatecznych: choroby i śmierci. Mucha Bzyk-Bzyk umiera. Pozostali bohaterowie

wie stają wobec tego faktu, reagują zgodnie z tym, jacy są – niezgodą, złością, smutkiem – a w końcu próbują odnaleźć w nim sens i nadzieję.

Dopiero po paru latach zdecydowałem się przesłać opowiadanie do wydawnictwa, żebyśmy się wspólnie zastanowili, czy i w jakiej formie je wydać. Pan Robert w czasie naszej rozmowy sprawiał wrażenie głęboko poruszonego całą historią, był wręcz wstrząśnięty. „Ale jak to?” – mówił. „Bzyk-Bzyk umiera? To niemożliwe! Wszystko jest bardzo dobrze opisane, owszem, ale Bzyk-Bzyk nie może umrzeć! Przecież czytelnicy są z nią związani, przecież ją lubią. A może by na końcu napisać, że to był tylko sen? Wszyscy się budzą i życie toczy się dalej?”

Wydawało mi się, że jednak nie, że takie zakończenie zatrze sens całej historii, pozbawi ją mocy. Pan Robert z kolei z szacunkiem, ale stanowczo oponował przeciw pozostawieniu jej w dotychczasowej formie.

– Wie pan – powiedział – ja jestem Amerykaninem. Historia musi się dobrze kończyć. Musi być happy end!

I choć opowiadanie do dziś pozostaje nieopublikowane, i nadal nie chcę zmieniać zakończenia, to bardzo się cieszę, że mogłem poznać pana Roberta i choć trochę ogrzać się jego wiarą w happy end. Mam nadzieję, że doświadcza go teraz osobiście i że jeszcze kiedyś będziemy mieli okazję sobie o tym porozmawiać.



Wojciech Wołyński

ROBERTA GAMBLE'A POZNAŁEM W 1984 ROKU. Pojawił się w naszym domu jeszcze w Stoneham pod Bostonem. Pierwsze, co uderzyło mnie w Bobie, to zupełny brak ostentacji i niezwykła chęć nawiązywania szczerego kontaktu z bliźnim. Rzadko widywałem go w koloratce, choć wtedy pracował jako kapelan Kościoła Episkopalnego w słynnym szpitalu bostońskim Massachusetts General. W tym szpitalu kiedyś pracował także jego ojciec Clarence, kiedy był młodym lekarzem.

Robert uwielbiał rozmawiać z ludźmi, bardzo rzadko popadał w irytację, a jego maniery były z dobrej szkoły. Prowadziliśmy więc długie rozmowy o wszystkim, ze szczególnym uwzględnieniem spraw polskich. Ku mojemu zdumieniu Bob był bardzo Polską przejęty i już sporo o niej wiedział, a druga połowa lat osiemdziesiątych była dla Polski dość dramatyczna. Służyłem Bobowi jako „ekspert” od Polski, natomiast Bob służył mnie jako ekspert od USA i nauczyciel angielskiego. Powoli dowiadywałem się, że Robert wspomaga finansowo kursy angielskiego przy parafii Our Lady of Częstochowa, mieszczącej się w małej polskiej dzielnicy u zbiegu ulic Boston Street i Dorchester Avenue. Tamże finansuje

grupę Anonimowych Alkoholików oraz godzinny program radiowy po polsku w bostońskim radiu.

Po jakimś czasie Bob zaczął zabierać mnie w podróże i tak po raz pierwszy zobaczyłem jego domek letniskowy na wyspie Georgetown w Maine. Na tej wyspie były także trzy inne domy członków rodziny Gamble i tak poznałem rodzeństwo Roberta: Judy Kahrl i Waltera Gamble'a, kardiologa. Potem Bob zabrał mnie do Waszyngtonu i tam poznałem jego najstarszą siostrę Sally Epstein, która jeszcze w latach pięćdziesiątych zaczęła kolekcjonować obrazy Edvarda Muncha. W jej domu, który przypominał trochę warszawski Belweder, zobaczyłem na ścianie jedną z wersji *Krzyku* Muncha. Sally posiadała największą prywatną kolekcję dzieł Muncha.

Robert był z rodzeństwa najmłodszy. Pradziadek Roberta, James Gamble (1803-1891) wraz z rodzicami przywędrował z Graan (dzisiaj to Irlandia Północna, część miasta Enniskillen) do Cincinnati w stanie Ohio. Płynęli pod żaglami 47 dni z portu Derry w Irlandii do New Brunswick w Kanadzie. Potem były dyliżanse, wreszcie statek na rzece Ohio. Na tym statku James zachorował, było podejrzenie cholery, więc musieli wysiąść w Cincinnati i już tam zostali. Był rok 1819, James miał 16 lat. Zaczął uczęszczać do miejscowej szkoły Kenyon College i dorabiać sobie jako praktykant u miejscowego producenta mydła. W 1828 roku usamodzielniał się jako producent mydła, a w 1833 r. ożenił się z Elizabeth Norris, z którą miał potem dziesięcioro dzieci. Elizabeth miała siostrę Oliwię, która wyszła za Williama Proctera, producenta świec. Ojciec siostr, Aleksander Norris, namówił zięciów, aby powiązali swoje interesy i tak w 1837 roku (sto lat przed narodzinami Roberta) powstała firma Procter & Gamble. W 1857 roku firma odnotowała pierwszy milion przychodu. Do sukcesu firmy przyczynił się też stryjeczny dziadek Roberta, najstarszy syn pradziadka James Norris Gamble (1836-1932). Był wykształconym chemikiem, w wojnie domowej kapitanem w pułku piechoty Ohio, a na końcu przede wszystkim filantropem budującym instytucje medyczne i sportowy stadion. Ojciec uczynił go współnikiem,

a syn wymyślił dla firmy nowy produkt, mydło ivory, którym Amerykanie myją się do dziś. Zatrudnił Thomasa Edisona, aby ten założył mu komunikację telegraficzną między zarządem a fabrykami. Firma Procter & Gamble dorobiła się także na dostawach artykułów drogeryjnych dla wojska w czasie wojny domowej, co zapewne także było zasługą Jamesa Norrisa Gamble'a.

Dziadkiem Roberta był David Barry Gamble (1847-1923), pamięć o którym trwa w postaci domu w Pasadenie w Kalifornii. Dom można obejrzeć, wystukując gamblehousemovie.com. Dom ten jest dzisiaj w spisie narodowych pomników historii, można go zwiedzać, bo jest muzeum czasów zwanych przez historyków sztuki epoką „Arts and Crafts”. Dziadek David miał 3 synów, jednym z nich był Clarence, ojciec Roberta, z zawodu lekarz z dyplomem Harvardu. Początkowo zajmował się farmakologią na uniwersytecie w Pensylwanii. Pod koniec lat trzydziestych (1937) przenieśli się do Milton pod Bostonem. W tym też roku urodził się Robert David Gamble. Jego ojciec od końca lat dwudziestych zajmował się problematyką świadomego macierzyństwa,łożył też na zakładane kliniki opieki zdrowotnej dla kobiet. Po jakimś czasie stał się fundatorem i pierwszym prezydentem organizacji Pathfinder International zajmującej się planowaniem rodziny i zdrowiem kobiet. Organizacja pracuje do dziś w 15 krajach Afryki i Azji, jej budżet to 145 mln dolarów.

Matką Roberta była Sarah Merry z domu Bradley (1898-1984). Absolwentka dobrych szkół dla kobiet w Bostonie (Radcliffe, Simmons), ukończyła wydział opieki społecznej. W czasie pierwszej wojny światowej zaciągnęła się jako ochotniczka-kierowca. W 1924 roku wyszła za Clarence'a i z całą energią wspomogła go w jego pracach związanych ze świadomym macierzyństwem. W związku z tą pracą wiele podróżowali, co często wspominał Bob. Podobno cztery razy objechali dookoła świata. Myślę, że miało to ogromny wpływ na Boba, gdyż podróżował bez stresu i zadomawiał się błyskawicznie. Nie wydziwiał też na lokalne klimaty w miejscu wylądowania, nie wydziwiał na tubylców. Miał charakter podróżnika i innych do podróżowania namawiał. Dzięki niemu już po



34. 80 róz i 80 lat. Po mszy w kaplicy klasztoru oo. Dominikanów w Poznaniu (2017).



35. Prawdopodobnie ostatnie zdjęcie pana Roberta (2020).

pięciu latach od wyjazdu z Polski mogłem kraj odwiedzić. Pojechałem jako opiekun dr Ernesta Kurtza, amerykańskiego historyka ruchu Anonimowych Alkoholików.

Objechaliśmy z Erniem pół Polski, w której się właśnie zawałał dziwny ustrój zwany komunizmem. Jechaliśmy od jednej do drugiej grupy organizujących się członków AA, z atencją gapiliśmy się na pionierów ruchu AA w Polsce z 1956 roku, których spotkaliśmy w Poznaniu. Opowiadali, jak rozpędzili ich wtedy Gomułka z Wyszyńskim. Kościół potraktował ich jak potomstwo szatana. Nie sposób przecenić to, co Robert zrobił dla odnowy ruchu AA w Polsce.

Kiedy wspominam Boba, to uświadamiam sobie, że zajęło mi sporo czasu zrozumienie, kim Robert rzeczywiście był. W końcu doszedłem do wniosku, że Robert był po prostu chrześcijaninem. Chrześcijaninem tak jak ja to rozumiem: dzielił się wszystkim z bliźnimi, stronił od pesymizmu i wyrażania zbyt głośnych opinii o wadach innych osób. Pomysły, które przychodziły mu do głowy, starał się wdrażać z rzadko spotykanym uporem. Za własne niepowodzenia nie obwinał innych. Niczego nie udawał, potrafił słuchać. Owszem, był uparty.

Zastanawiam się, jak Polska go zmieniła? I jak dalece Bob zmienił Polskę? Bo przecież Bob realizował także projekty, które nie skończyły się sukcesem. Mam tu oczywiście na myśli projekt Radio Obywatelskie. Wielu to radio pamięta, jest na ten temat hasło w polskiej Wikipedii, ja sam pamiętam swój podziw, kiedy Bob zaprowadził mnie do tego radiowego studia błyszczącego nowością. Gadaliśmy długo o jego „pięciu zasadach” dla tych, którzy stają przed radiowym mikrofonem. W tych zasadach było dużo Roberta-chrześcjanina.

Dzisiaj ta forma dialogującego radia jest powszechna, ale wtedy Robert był pionierem. Praca i dobroczynność Boba zostały docenione. Na pogrzebie żołnierz niósł na poduszce trzy ważne polskie odznaczenia: Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (1999), odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej (2015) i Zasłużony dla Miasta Poznania (2016).

Jestem wdzięczny losowi, że na swojej drodze spotkałem Roberta Gamble'a i że w latach osiemdziesiątych nie odmawiał mi pomocy finansowej oraz dla podziemnej Solidarności. Jestem pełen podziwu dla dokonań Boba w Polsce, wdzięczny za finansowanie odrodzenia polskiego ruchu AA, za finansowanie rzeczy, o których nikt nic nie wie, a to na przykład pierwszego komputera (porządnego Macintosh Plus) na biurku Stanisława Barańczaka, „Zeszytów Literackich” i moim. Stanisław został zdiagnozowany z chorobą Parkinsona w 1986 roku. Ten komputer bardzo mu się przydał, zdołał jeszcze sporo na nim napisać.

Wygląda na to, że mogę wyliczać zasługi Boba bez końca. Tak było. Bo to był niezwykle człowiek. Kiedy jednak pytam siebie, czym Bob zaimponował mi najbardziej – odpowiedź mnie samego zaskakuje... Najbardziej Robert Gamble zaimponował mi, przyjmując stanowisko pełniącego obowiązki proboszcza parafii Kościoła Episkopalnego obejmującej całą Polskę. Jego biskup był biskupem Gibraltaru. Kapłaństwo to było coś, co do osobowości Boba najbardziej pasowało. Chodzi mi o model kapłaństwa, który – mam nadzieję – kiedyś może stanie się popularniejszy. Że ksiądz, kapłan to nie jest policjant czy strażnik więzienny czyhający na nasze odjazdy od rzeczywistości, tylko ktoś proponujący jakieś rozwiązania, podsuwający pomysły, troszczący się o nas nawet własną kieszenią.



Bohdan T. Woronowicz

PASTORA ROBERTA GAMBLE'A, DLA NAS BOBA, POZNAŁEM W 1985 ROKU. Podczas swojego kolejnego pobytu w Polsce, zafascynowany Wspólnotą Anonimowych Alkoholików poszukiwał on osób, które wspierały wspólnotę i pomagały alkoholikom. Kiedy wpadł na pomysł, żeby nawiązać kontakt z Ośrodkiem Apostolstwa Trzeźwości w Zakroczymiu, Lech Jęczmyk, nasz wspólny znajomy, skontaktował Boba ze mną. Wiedział bowiem, że ja nie tylko wspierałem wspólnotę, ale też od kilku lat współpracuję z tym ośrodkiem. Jednym z efektów naszej wspólnej wizyty w Zakroczymiu i rozmowy z o. Benignusem Sosnowskim, założycielem ośrodka, była decyzja Boba, żeby paru osobom zaangażowanym w pomaganie polskim alkoholikom umożliwić zapoznanie się z pracą ośrodków leczenia uzależnień i Wspólnotą AA w Stanach Zjednoczonych.

W tym czasie pracowałem w Instytucie Psychoneurologicznym w Warszawie i kierowałem Oddziałem Odwykowym, który pierwszy w tej części Europy był nastawiony na psychoterapię i współpracę z AA. Jednocześnie w ramach krajowego nadzoru specjalistycznego w dzie-

dzinie psychiatrii zajmowałem się lecnictwem odwykowym i miałem pewien wpływ na kształt tego leczenia w Polsce. W tym czasie przeżywałem też trudne chwile, starałem się pogodzić z szarą rzeczywistością i z brakiem perspektyw. Skończyłem czterdzieści lat, miałem różne dyplomy i specjalizacje, jednak nie widziałem perspektyw dla własnego rozwoju zawodowego oraz dla poprawy poziomu leczenia odwykowego, któremu zamierzałem poświęcić swoje dalsze zawodowe życie. Dookoła marazm, szaro, smutno, brak wsparcia, a w niezbyt odległej pamięci – stan wojenny.

W kwietniu 1986 wraz z dr Danutą Dudrak z Poznania i jednym z zakroczymskich kapucynów poleciliśmy do Stanów na zaproszenie Boba. Miałem okazję zobaczyć tam kilka ośrodków terapeutycznych i odbyć staż w Hazelden Center, kolebce tzw. Modelu Minnesota w podejściu do leczenia uzależnień. Przy okazji spotkałem się z kilkoma kolegami ze studiów, którzy wyjechali z Polski w latach siedemdziesiątych, nostrzyfikowali dyplomy w Stanach i tam pracowali jako lekarze specjaliści.

Dzięki finansowemu wsparciu Roberta i kontaktom Wiktora Osiałyńskiego, który w tym czasie przebywał w Stanach, zwiedziliśmy we trójkę kilka ośrodków pracujących według Modelu Minnesota. Szczególnie byłem wdzięczny Bobowi za to, że umożliwił mi odbycie stażu w Hazelden Center, bo tam mogłem przez dłuższy czas przyjrzeć się wykorzystaniu Programu Dwunastu Kroków Anonimowych Alkoholików w leczeniu uzależnionych. Podczas nieco dłuższego pobytu w Chicago miałem okazję poznać środowisko polskojęzycznej Wspólnoty AA i uczestniczyć w jej mityngach oraz przeprowadzić wywiad z Józefem (nazywanym przez kolegów Papa Joe), który w 1966 r. prowadził spotkania pierwszej poza granicami kraju polskojęzycznej grupy AA przy szpitalu Zmartwychwstańców. Miałem też okazję zobaczyć, jak działa poradnia leczenia alkoholików, i uczestniczyć w ambulatoryjnych spotkaniach terapeutycznych dla Polaków, którzy w większości trafiali tam na polecenie sądu po zatrzymaniu przez policję z powodu jazdy samochodem pod wpływem alkoholu.

Wróciłem do kraju pełen wrażeń i pomysłów na poszerzenie i ulepszenie oferty terapeutycznej dla swoich pacjentów oraz z wiarą, że to, co dotychczas wydawało mi się niemożliwe, jest jednak możliwe. Dostałem nie tylko nadzieję, ale i silny impuls do działania. Uwierzyłem wtedy, że w moim życiu zawodowym i osobistym może nastąpić zmiana na lepsze, bo w odróżnieniu od wielu moich kolegów nigdy nie brałem pod uwagę możliwości emigracji. Wyjazd dał mi przysłowiowego kopa i przypomniał, że we wczesnej młodości marzyłem o podróżach i poznawaniu świata. Na tym etapie swojego życia zawodowego bardzo potrzebowałem takiego bodźca. Bob mi go dał.

Kiedy w 1992 r. Bob zamieszkał w Poznaniu, spotykaliśmy się wielokrotnie przy różnych okazjach, w Radiu Obywatelskim, w którym byłem jednym z pierwszych gości, w wydawnictwie Media Rodzina poświęcającym coraz więcej uwagi sprawom powrotu do zdrowia. Bob przez kolejne lata wspierał dosłownie wszystkich, którzy wsparcia potrzebowali (ostatnio ofiary pedofilii). Podobnie było w Warszawie, dokąd przyjeżdżał na weekendy (po gambolsku – sobdziele) do swoich wiernych, albo kiedy przyjeżdżał na doroczne targi książki. Podczas któregoś ze spotkań rzucił pomysł napisania przeze mnie i wydania w wydawnictwie Media Rodzina obszernej książki na temat uzależnień, w której podzieliłbym się swoją wiedzą, doświadczeniem i przemyśleniami. Tak też zrobiłem. Z kolei swoją ostatnią książkę na temat uzależnień, tym razem od zachowań/czynności, którą oddawałem do wydawnictwa już po śmierci Boba, zadedykowałem właśnie jemu.

Na zakończenie pozwolę sobie zacytować powiedzenie nieznanego mi autora: Człowiek jest tyle wart, ile warta jest dobroć jego serca, którą dzieli się z innymi. Dlatego jedni nie są warci złamanego grosza, a drudzy są po prostu bezcenni. Bob był właśnie człowiekiem bezcennym.

Opuścił nas 17 listopada 2020 r. jako jedna z ofiar koronawirusa. Zdążył jeszcze ucieszyć się z wyborczego zwycięstwa Joe Bidena, którego autobiografię wydał ponad rok wcześniej. Wierzył głęboko, że wygra

Biden, tak jak w 2008 r. opublikował książkę Baracka Obamy, zanim ten został prezydentem.

Bob, dziękuję, że mogłem Ciebie poznać i spędzić z Tobą trochę czasu. Szkoda, że już nie będę miał możliwości doskonalenia języka gambolskiego, którego byłeś niezastąpionym profesorem.

Jestem wdzięczny za nadzieję, którą we mnie tchnąłeś w trudnym okresie mojego życia, i ważną pomoc w moim zawodowym rozwoju. Byłeś człowiekiem, na którego nieświadomie czekałem, nie wiedząc jeszcze, że ktoś kiedyś powiedział: Pewnego dnia w twoim życiu zjawi się człowiek, który zapali światła, które inni zgasili. Ty je zapaliłeś.

Za swoją postawę Robert D. Gamble został odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, odznaką honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej oraz tytułem Zasłużony dla Miasta Poznania.

Bob, dziękuję, że mogłem Cię poznać, będzie mi Ciebie bardzo brakowało, spoczywaj w spokoju. Będę Ciebie zawsze pamiętał.



Ewa Woydyłło-Osiatyńska

BOB, MYŚLĘ O TWOICH OSTATNICH SŁOWACH wypowiedzianych słabym głosem, gdy zadzwoniłeś już ze szpitala: „Niczego mi nie potrzeba. dobrze się tu o mnie opiekują”. Uśmiechnęłam się przez łzy – ta twoja polszczyzna... Ale już w tamtym momencie przeczułam, że to moja ostatnia rozmowa z Tobą.

A nasze ostatnie spotkanie odbyło się w Licheniu, w Sanktuarium Maryjnym, podczas Zlotu Trzeźwościowego w lipcową sobotę 2019 r. W czasie krótkiego spaceru (podtrzymywały Cię dwie osoby) ucieszyłeś się, widząc tabliczkę „Mityng Al-Anon”. Pokiwałeś głową z aprobatą i powiedziałeś: „Dobrze. To jest tu bardzo potrzebne”.

Tu – czyli tam, w Licheniu, wśród setek trzeźwiejących alkoholików, narkomanów, hazardzistów, seksoholików i towarzyszących im żon, przyjaciółek i matek, którzy zjechali na wspólne dziękczynne modlitwy i świętowanie swojego odrodzenia w trzeźwym życiu.

Ale Tu – to także tu, gdzie Al-Anon jest bardzo potrzebne, czyli w Polsce. W kraju, w którym od zamierzchłych czasów przemilcza się brzydkie rodzinne sekrety i wszelkie „brudy” pierze się nadal w ukryciu;

gdzie dzieciom nie wolno mówić nikomu, co się dzieje w domu... Po-tem dorastają one i nieświadomie niosą rodzinne patologie w swoją przy-
szłość. Czyli także tu, w Polsce, o której mówiłeś, że jest narodem współ-
uzależnionych. Często podkreślałeś, że wszyscy potrzebujemy Al-Anon,
gdyż pomaga odzyskać wolność i przerwać łańcuch złego rodzinnego
dziedziczenia. To pod twoim wpływem nadałam tytuł swojej pierwszej
książce *Wybieram wolność*.

Robert Gamble przyglądał się Polakom podczas swoich licznych po-
bytów, gdy pilnie uczył się języka, także w USA, gdy nauczał angielskiego
bostońskich Polonusów według swojego własnego podręcznika. Jego
sentyment do Polski zakiełkował podczas pierwszego studenckiego
przyjazdu do Warszawy, gdzie nawiązał od razu zażyłą przyjaźń z żoli-
borską rodziną Jęczyków. Później osiadł w Poznaniu, by wcielać tam
różne nowatorskie idee, m.in. Radio Obywatelskie, a następnie wy-
dawnictwo książek uczących życia – Media Rodzinę. Nie tworzył ame-
rykańskich instytucji, tylko polskie. Sam coraz lepiej mówił i rozumiał
po polsku, dawał pracę polskim pracownikom, którzy uczyli się etyki
pracy trochę innej niż nasza i czasem, niestety, nie potrafili jej sprostać.
Ale oprócz tego zawsze był dobrym duchem rozwijającej się u nas ży-
wiolowo od lat osiemdziesiątych Wspólnoty Anonimowych Alkoholi-
ków. Tam ulokował swoje prawdziwe serce. I pomagał najmądrzej jak
można, obdarowując pierwszymi komputerami kilka czołowych osób na
polskiej scenie leczenia odwykowego. Fundował terapeutom i kluczo-
wym urzędnikom od uzależnień wyjazdy na konferencje i studyjne wi-
zyty w renomowanych ośrodkach terapii uzależnień w USA. Finansował
przyjazdy tamtejszych terapeutów do Polski oraz przekłady amerykań-
skich bestsellerów na temat terapii uzależnionych, współuzależnionych
oraz DDA.

Nie sposób wyliczyć wszystkich dokonań Roberta Gamble'a i jego za-
sług jako krzewiciela idei trzeźwego życia. To Ty, Bob, razem z Wiktorem
Osiatyńskim otworzyliście drogę do humanizacji i unowocześnienia le-
czenia odwykowego według amerykańskiego Modelu Minnesota. Model

ten nie tylko przyjął się u nas oficjalnie, ale wszedł do naszego więziennic-
twa dzięki oddziałom „Atlantis”, a z Polski zaczął przenikać od lat dzie-
więćdziesiątych do krajów posowieckiego regionu Europy Wschodniej
i Azji Centralnej. Tu wspomnę Twoje (i nasze) zdumienie, gdy pewnego
dnia zaczęły się pojawiać w prasie artykuły i wywiady o „polskiej szkole
odwyku...”.

Zastanawialiśmy się, pamiętam, dlaczego Polacy nie umieją, a może
nie lubią okazywać wdzięczności? Powiedziałeś wtedy: „Do wdzięczności
nie są zdolni ludzie o niskim poczuciu wartości, zakompleksieni, żyjący
w lęku, że inni mogą okazać się lepsi od nich”.

Tak, Bob, Ty nie chowałeś urazy, bo starałeś się zawsze rozumieć
ludzi, tych nie bardzo szlachetnych również. Przekonałam się nieraz,
że byłeś także przenikliwym psychologiem. A jednocześnie łączyłeś to
z wielką wspaniałomyślnością i niemal dziecinną ufnością. Żartowałam,
że to zasługa Twego episkopalnego kapłaństwa (bo ja sama nie potrafię
być aż tak wyrozumiała...).

Powiem to w swoim imieniu i nieżyjącego od prawie czterech lat
Wiktora Osiatyńskiego: będę zawsze czuć wdzięczność wobec Ciebie,
Bob, za przyjaźń i pełne zwierzeń dyskusje i rozważania nad wspólnym
tematem, od którego zaczęła się nasza prawie 40-letnia współpraca i sym-
patia. Z czasem kolejność tych słów zamieniła się miejscami i sympatia
wysunęła się na pierwszy plan.

Pokochaliśmy Ciebie, Bob, jak brata, jak nieoczekiwanie odkryte-
go w Ameryce krewnego pokrewieństwem dusz, nie genów. Wiktor i ja
pokochaliśmy Ciebie najpierw za to, że nasze dzieci zapraszałeś na ba-
jeczne wakacje do swego domu na Cape Cod, a mnie umożliwiałeś staże
i praktyki zawodowe od Orlando na Florydzie przez Chicago, Nowy
Jork i Hazelden w Minnesocie. Pokochaliśmy Ciebie najpierw za Two-
ją bezinteresowność i hojność, a potem coraz bardziej z czystej radości
dzielenia się z Tobą wszystkim, co ważne w Twoim i naszym życiu. To-
warzyszaliśmy Ci w skomplikowanym i trudnym ojcostwie, a Ty nam we
wtajemniczeniu w niereligijną koncepcję duchowości AA. Żartowaliśmy,

że gdyby inny Bob z Billem tych „Kroków” w latach trzydziestych nie wymyślił, to zrobiłbyś to Ty, może razem z Wiktorem.

Po latach amerykańskich, już w Polsce, gdy pracowałam w Instytucie Psychiatrii i Neurologii, zapraszałam Cię czasem na zajęcia z pacjentami, żebyś po swojemu, najlepiej jak tylko potrafiłeś, objaśniał im sens zwrotu: „Bóg, jakkolwiek Go pojmujemy” oraz tego dziwoląga o spolszczonej nazwie „sponsorowanie”, czyli celowości trybu ciągłego, a nie dokonanego, w słowie „trzeźwienie”. Wiesz, Bob, spotykam czasem tamtych pacjentów, którzy doskonale pamiętają te Twoje „lekcje mądrości”. Ja zresztą też je pamiętam, z nich przecież czerpałam wiedzę o tej niesamowitej transgresji, jakiej dokonują alkoholicy, którzy dzięki programowi AA wychodzą, jak sami to nazywają, „na prostą”. Pomagałeś nam w tym na tysiąc sposobów, i to przez kilka dziesięcioleci od czasu, gdy jeszcze mieszkales w Bostonie i potem już w Polsce.

Przytoczę w tym miejscu fragment artykułu, który napisaliśmy z Wiktorem w biuletynie „Arka” nr 29 z sierpnia 1999 r., wydawanym przez nas w ramach działań Komisji Edukacji w Dziedzinie Alkoholizmu i Innych Uzależnień Fundacji im. Stefana Batorego:

Jubileusz 10-lecia Komisja uczciła, wyrażając wdzięczność pięciu osobom, które przyczyniły się do wcielenia w życie naszego głównego celu, czyli unowocześnienia leczenia uzależnionych i współuzależnionych w oparciu o filozofię i program Dwunastu Kroków AA. Na naszą prośbę 6 lipca 1999 r. Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski nadał wysokie odznaczenia państwowe: Claudii Blackburn, Billowi Burginowi, Stefanowi Johannssonowi, Robertowi Gamble i Bohdanowi Woronowiczowi.

Byłeś wzruszony i szczęśliwy, ponieważ honor ten był pierwszym w życiu oficjalnym wyrazem uznania dla Twojej misji w pomnażaniu dobra, za jakie uważałeś wysoki profesjonalizm w każdej formie działalności indywidualnej i społecznej. Jak sam mówiłeś: „*I like everything except eyewash*” (Wszystko lubię, tylko partaniny nie znoszę). Kilkanaście lat

później spotkało Cię jeszcze jedno wyróżnienie: otrzymałeś w Licheniu statuetkę Pelikana przyznaną przez Wspólnotę AA dla osób szczególnie zasłużonych w niesieniu pomocy alkoholikom i ich rodzinom.

Wspominam Ciebie również z naszych zebrań Rady Programowej Fundacji ABCXXI Cała Polska Czyta Dzieciom, którą wspierałeś swoją mądrością i książkami ze swego wydawnictwa.

Piękny Człowiek – mówił o tobie Wiktor. Dodam do tego: i Dobry.

Gdy piszę te słowa, towarzyszy mi Twoja i moja ulubiona piosenka w wykonaniu Grega Browna z płyty *Songs of Innocence and of Experience*. Podarowałeś mi w Bostonie latem 1986 r. kasetę, na której Greg Brown śpiewał poezję Williama Blake’a i właśnie *The Tyger* wpadł mi wtedy w ucho i w serce najgłębiej, tak samo jak Tobie.

Składałam Ci więc u stóp ten ciepły hymn o tygrysie zadającym sobie odwieczne egzystencjalne pytania na pamiątkę naszych własnych zwątpień i poszukiwań, którymi się dzieliliśmy przez tyle lat, podążając jeżeli nie zawsze razem, to zawsze w tym samym kierunku. Wybrałam polski przekład, który specjalnie dla ciebie, Bob, napisała moja córka Natalia.

Żegnam Cię, Drogi Przyjacielu.
Ewa Woydyłło-Osiatyńska

TYGRYS

*O Tygrysie, ty, co płoniesz
W nocnej puszczy ciemnej toni.
Czyja nieśmiertelna dłoń i oko
Twą symetrię złą wykuty?*

*W jakiej chmur czy mórz oddali
Płomień oczu twych się pali?
Któż skrzydłami ośmielony?
Czyja dłoń tak chwyta ogień?*

*Czyje ramię i rzemiosło
Serca sznury ci zaplotło?
Tak, by wreszcie bić zaczęło,
Czyjej ręki, stóp to dzieło?*

*Czyj był młot, czyj łańcuch pily?
W ogniu czyim mózg paliły?
A imadło czyje było?
Grozę chwycić? Kto miał siłę?*

*A gdy gwiazdy zaiskrzyły,
Niebo łzami zarosily.
Czy uśmiechnął się, gdyś ożył?
Czy cię autor jagniąt stworzył?*

*O Tygrysie, ty, co płoniesz
W nocnej puszczy ciemnej toni.
Czyja nieśmiertelna dłoń i oko
Twą symetrię wykuć śmiały?*





Ojciec Harry'ego

Z AMERYKANINEM I PASTOREM **ROBERTEM GAMBLE'EM**,
ZAŁOŻYCIELEM WYDAWNICTWA **MEDIA RODZINA**,
ROZMAWIA **MARCIN WÓJCIK***.

W 1837 roku współpracę rozpoczęli William Procter i James Gamble. Przedsiębiorstwo Procter & Gamble – początkowo sprzedające mydło – stało się jednym z największych międzynarodowych koncernów. James Gamble to pana prapradziadek?

– Pradziadek. W 1819 roku z Irlandii Północnej popłynął do Ameryki. A wcześniej, w 1620 roku, moi przodkowie przenieśli się do Irlandii ze Szkocji.

A pan gdzie się urodził?

– W Filadelfii, jeszcze przed drugą wojną. Ale kiedy miałem rok, rodzice przeprowadzili się do Bostonu.

Pracowali w rodzinnym koncernie czy był już sprzedany?

– Firma nigdy nie została sprzedana, ale w latach dwudziestych XX wieku zaczęła wprowadzać akcjonariat pracowniczy i liczba akcji

* Przedruk z: „Duży Format” nr 293, 17.12.2018 r.

pozostających w rękach rodziny zmaląła. Mama zajmowała się domem, tata był lekarzem, specjalistą od planowania rodziny. Pewnie dlatego nasza piątka rodziła się co dwa lata, tata to obliczał. Rodzice bali się, że jako najmłodszy urodzę się bez rudych włosów. Na szczęście urodziłem się taki sam jak rodzeństwo. Te dalekie szkockie korzenie uwydatniły się w naszym pokoleniu.

A dom jaki był?

– Otwarty. W czasie drugiej wojny mieszkali u nas na przykład dwie dziewczyny z Anglii. Uciekły przed bombardowaniem Londynu. Po wojnie wróciły do siebie, a rodzice do końca życia mieli z nimi kontakt. Tata był związany ze Szkołą Medyczną na Harvardzie. Organizował w domu przyjęcia dla tego środowiska, byli wykładowcy, ale i studenci. Jak się później okazało, robił to po to, aby moja starsza siostra mogła sobie wybrać kawalera z kwalifikacjami. Nie zadziało! Nie wybrała sobie nikogo z tego środowiska!

Rodzice byli bogatymi ludźmi. Pan i rodzeństwo mieliście wszystko?

– Absolutnie nie. Rodzice nie obnosili się z bogactwem. Nigdy nie zależało im na zbytkach. Jeśli chodzi o rodzeństwo, to każdy z nas poszedł w inną stronę. Jeden brat został lekarzem, drugi biznesmenem, jedna siostra nauczycielką, druga działaczką społeczną, ja – pastorem.

Jak do tego doszło?

– Najpierw studiowałem literaturę angielską na Harvardzie. Po studiach służyłem dwa i pół roku w marynarce. Na szczęście nie było jeszcze Wietnamu. Kiedyś pływalismy między Bermudami a Azorami. Wtedy, podczas nocnej rozmowy z przyjacielem na statku, zdecydowałem, że jestem wierzącym chrześcijaninem. John był baptystą z Karoliny Północnej. Zapytał mnie: „Bob, czy naprawdę wierzysz,

że Jezus chodził po wodzie?”. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Patrzyłem przed siebie, noc, księżyc na morzu, w końcu powiedziałem: „Tak”. Czułem się odpowiedzialny za to słowo. Przecież powiedziałem „tak”. Po tej rozmowie dużo myślałem. Skoro Bóg stworzył świat, to może również przekroczyć prawa natury. Teraz, po latach, wiem, że Jezus chodząc po wodzie, przygotował apostołów na przekroczenie granic natury, którym było Zmartwychwstanie.

Wcześniej pan nie wierzył?

– Moja rodzina była wierząca, należała do Kościoła Episkopalnego – tak nazywa się Kościół Anglikański w USA. Nigdy nie powiedziałem sobie, że nie wierzę. Ale też nigdy, tak świadomie, jak tam na morzu, nie powiedziałem, że wierzę. Nawet dzisiaj są momenty, że wierzę na sto procent, ale są i takie, że na osiemdziesiąt. Po powrocie z marynarki rozpocząłem studia teologiczne w seminarium Kościoła Episkopalnego. Na pierwszą parafię trafiłem w stanie Iowa. Grinnell to małe miasto w pobliżu centrum Iowa, z niewielką, ale znaną uczelnią. Oprócz bycia normalnym proboszczem, byłem kapłanem dla studentów college’u. Na drugą parafię trafiłem w Bostonie, gdzie byłem kapłanem szpitala od 1980 do 1992, kiedy to przyjechałem na stałe do Polski.

A kiedy pierwszy raz odwiedził pan Polskę?

– W czasie studiów na Harvardzie, w 1958 roku. Przyjechałem z organizacją The Experiments in International Living, która stawiała sobie za cel budowanie mostów między narodami. Idea była taka: Amerykanie mieszkają w rodzinach Francuzów, Francuzi Niemców, Hiszpanie Włochów. Moi bracia i siostry pojechali do Francuzów i Norwegów, a ja chciałem poznać Polaków. Ciekawił mnie ten kraj za żelazną kurtyną. Czytałem o nim w podręcznikach do historii, tu zaczęła się druga wojna, później dotknął go komunizm.

Z grupą dwudziestu Amerykanów popłynęliśmy do Kopenhagi i stamtąd pociągiem do Polski. Na miesiąc. Zaprosiło nas Zrzeszenie Studentów Polskich. Traktowałem ten wyjazd jako egzotyczne wakacje za żelazną kurtyną.

Gdzie mieszkaliście?

– U ludzi, w domach pod Warszawą. Ja trafiłem do Leszka Jęczmyka, tłumacza literatury, z którym się zaprzyjaźniłem. Jeździłem z amerykańskimi kolegami do Giżycka, Zakopanego, Poznania. W Poznaniu zostałem aresztowany i zatrzymany na półtorej godziny za to, że ośmieliłem się sfotografować siedzibę Urzędu Bezpieczeństwa. Siedział ze mną jakiś Polak i pamiętam, że zjadł kartkę z adresem kogoś ważnego. A mnie pytano, czy jestem z CIA. Być może liczyli, że mnie zwerbują. Zdarzyło się, że pewien Amerykanin przepadł podczas takiego wyjazdu. Mówiono, że został zwerbowany przez służby i działał w wywiadzie.

Zdziwiło mnie, że tu wszystko jest takie tanie, że mogłem za dolary kupić tak wiele. Ale nie sztuką było mieć pieniądze, tylko móc coś za nie kupić. Po latach nasunęła mi się refleksja: pod rządami komunistycznymi tyle rzeczy było niemożliwych, że ludzie mieli więcej czasu, żeby usiąść i rozmawiać, na przykład w kawiarni. Zawsze i za wszystko można było obwinić partię. Tymczasem teraz wszystko jest możliwe, ale ludzie mają mniej czasu i są bardziej zestresowani.

To wtedy poznał pan żonę?

– Nie, to było w 1965 roku. Przyjechałem z tą samą organizacją, tym razem do Krakowa. Poznałem Anetę. Długo do siebie pisaliśmy. W końcu przyjechałem po raz kolejny i wzięliśmy ślub – państwowy w Polsce, episkopalny w USA, a potem rzymskokatolicki w Polsce. Nadal byłem pastorem. Urodził się syn. Ale nasze małżeństwo nie przetrwało, jesteśmy po rozwodzie.

Przez cały czas interesowałem się Polską. Miałem tu znajomych, zdawali mi relację z tego, co się dzieje. Kiedy w stanie wojennym do Bostonu przyjeżdżali Polacy, pomagałem im znaleźć mieszkanie, załatwić sprawy urzędowe, bo nie znali języka. Wracając kiedyś z Wiednia przez Polskę, znalazłem na pokładzie samolotu międzynarodowy dziennik „International Herald Tribune”, a w nim apel podziemnej Solidarności o sierpniowy bojkot alkoholu. Napisano, że podatki z alkoholu są drugim co do wielkości źródłem przychodów komunistycznego rządu. Zrozumiałem, że z komunizmem trzeba walczyć trzeźwością. Przez znajomych Polaków nawiązałem kontakt z grupą AA w Poznaniu. Przysyłałem do Polski amerykańskich terapeutów i zaprosiłem polskich terapeutów na szkolenia do Ameryki. Wtedy u was było może trzydzieści grup AA. Dziś jest ich ponad dwa tysiące.

Kiedy pan zdecydował, że przyjeżdża tu na zawsze?

– To był proces, i nie wiem, czy kiedykolwiek powiedziałem, że chcę na zawsze. Przyjechałem po raz kolejny w 1992 roku. Czułem misję, aby wydać po polsku bestsellerową książkę Adele Faber i Elaine Mazlish *Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły*, która pomogła mi jako ojcu. Z upadającego Wydawnictwa Poznańskiego przechwyciłem wybitnego redaktora Bronka Kledzika i z jego pomocą wydałem za własne pieniądze książkę, nie myśląc o wydawnictwie jako biznesie, tylko o chwilowym projekcie. To był plan misyjny. Chciałem, aby Polacy nauczyli się słuchać i mówić. Wydaje mi się, że macie z tym problem. To może być historyczny kontekst – zabory, okupacja, komuna. Nie mogliście swobodnie mówić, więc, kiedy nastał czas swobody, przestaliście słuchać, tylko mówicie wszyscy naraz.

To specyficzna polska cecha?

– Odpowiem tak: u Polaków trochę bardziej widoczna niż u innych.

A książka się sprzedała?

– Okazała się bestsellerem.

Mimo tego nadal mamy problem ze słuchaniem?

– Nadal.

Gdzie była siedziba wydawnictwa?

– Z początku, gdy przyjeżdżałem do Polski, mieszkalem u kolegi. Ale kiedy moje wizyty stały się regularne, wynająłem pokój w salezjańskim domu parafialnym na Winogradach w Poznaniu. Potem kupiłem ten dom i do dziś wydawnictwo ma w nim siedzibę.

Równocześnie z wydawnictwem rozwijał pan Radio Obywatelskie.

– Zależało mi na radiu, do którego mogli dzwonić słuchacze, takie talk radio rodem z Ameryki. Wtedy ta forma nie była powszechna w Polsce – dziś jest talk radio, talk telewizja. Hasło rozgłośni brzmiało: „Radio, które słucha Ciebie”.

Codziennie wymyślałem szesnaście tematów, z czego redakcja wybierała osiem. Pamiętam choćby ten: „Masło czy margaryna?”. Ludzie dzwonili i mówili, co wolą, co jest zdrowsze. Podzieliliśmy się na dwie partie – „Margarynę” i „Masło”. A jeśli ktoś doszedł do wniosku, że się mylił, mógł zmienić ugrupowanie. Moje talk radio było takimi rozmowami przy kuchennym stole. Kiedy przyjeżdżałem do Polski za komuny, Solidarność spotykała się w domach, w kuchni, przy stole. W takiej scenerii toczyły się najważniejsze dla przyszłości kraju rozmowy. Dlatego chciałem przenieść ten klimat do radia.

Radio miało siedzibę również na Winogradach?

– Nie, mieliśmy dwa pokoje w Zakładach Cegielskiego. Bardzo mi na tym zależało, ponieważ uważam, że strajk z 1956 roku był

początkiem upadku komunizmu. Święto Pracy powinniście obchodzić nie 1 maja, tylko 28 czerwca. A moim bohaterem jest Stanisław Matyja. Prosty robotnik z Zakładów Cegielskiego, który sprzeciwił się władzy.

Radio działało do 1998 roku. Zarządzała nim fundacja. Przestałem dawać pieniądze, a fundacja nie potrafiła zdobyć reklamodawców. Dlaczego przestałem dawać pieniądze? Bo założenie było od początku takie, że radio ma się utrzymywać samo. Tymczasem tak się nie stało.

Media Rodzina jest jednym z pierwszych, albo nawet pierwszym wydawnictwem założonym w Polsce po 1989 roku. Nie miał pan obywatelstwa, nie znał pan języka. Mimo tego nie miał pan problemów z urzędnikami?

– Żadnych. Myślę, że dzisiaj byłoby trudniej. W latach dziewięćdziesiątych była wolność gospodarcza, rozkwitał kapitalizm, została wyzwolona energia. Ogromnym wsparciem był i nadal jest dyrektor wydawnictwa Bronek Kledzik, wykradziony z Wydawnictwa Poznańskiego. Do tej pory udało nam się wydać tysiąc tytułów, w ponad dwudziestu milionach egzemplarzy.

Czuje się pan Polakiem czy Amerykaninem?

– Nigdy nie będę Polakiem. Jest możliwość podwójnego obywatelstwa, ale wtedy musiałbym chodzić na wasze wybory. Teraz nie muszę i mogę rozmawiać z każdym.

Sztuką jest głosować i rozmawiać z każdym.

– Mnie wystarczy odpowiedzialność za jeden kraj. Głosuję w Ameryce. Choć nie jestem szczęśliwy z powodu tego, co się tam dzieje. Moim bohaterem nie jest Donald Trump, tylko Barack Obama. Jeszcze nie był oficjalnym kandydatem na prezydenta, kiedy napisał swoją autobiografię. Wydaliśmy ją w Polsce, tuż przed wyborami. Wtedy

mało kto był zainteresowany jakimś Obamą. Ceniłem prezydenta za to, że potrafił słuchać tych, z którymi się nie zgadzał. Mówił: rozumiem, że według pana sprawa ma się tak i tak, wnioski ma pan takie i takie, ale ja uważam inaczej. Teraz moim kandydatem na prezydenta jest Joe Biden, wiceprezydent z czasów kadencji Obamy. Będziemy wydawać jego książkę, którą napisał po śmierci syna. Amerykański tytuł brzmi *Promise Me, Dad* (*Obiecuj mi, tato*). Może znowu – tak jak było w przypadku Obamy – okaże się, że wydaliśmy przyszłego prezydenta.

Odnosiłem wrażenie, że wydawnictwo Media Rodzina jest raczej zachowawcze. A teraz widzę w księgarniach historię 18-letniego Irlandczyka, obecnie profesora historii w Stanach, który był molestowany przez księdza. *Zgwałcony* to nowa odsłona Media Rodziny?

– Nie mam takich zdolności biznesowych jak moi przodkowie. Mam za to zdolność dobierania ludzi, którzy zarządzają biznesem. Ale w wydawnictwie to ja wiem, kiedy książka jest dobrym pomysłem. Wydawaliśmy książki o alkoholizmie, seksoholizmie, więc jest również *Zgwałcony*. Kiedy kobiety są gwałcone, jest dużo dyskusji; kiedy mężczyźni są gwałceni, temat jest ukryty. Poznałem księdza molestowanego przez proboszcza, więc nie jest to wydumany problem. Mieliśmy obawy, jak *Zgwałcony* zostanie przyjęty. Przypadek sprawił, że książka wyszła razem z filmem *Kler*. Została dobrze przyjęta. Dobre opinie słyszę również od księży katolickich.

Zgłaszam poprawkę do poprzedniego pytania. Przecież już wcześniej wydaliście kontrowersyjną książkę pod tytułem *Harry Potter i Kamień Filozoficzny*.

– Tak, dla niektórych była bardzo kontrowersyjna. Najpierw jakiś ksiądz w USA spalił książkę. Założyłem się z Bronkiem Kledzikim o 100 złotych, że w Polsce nie będzie linczu na *Harrym Potterze*. To znaczy on uważał, że nie będzie, a ja, że będzie. Przegrał.

Kto pierwszy zlinczował?

– Ksiądz z Wrocławia wołał z ambony, żeby nie czytać. A na Targach Książki Katolickiej w Warszawie podeszły do nas trzy panie i kropiły nas wodą święconą. Teraz książka została zdjęta z listy lektur, co dla nas jest niezrozumiałe. Jest wychowawcza, jest w niej odwieczna walka dobra ze złem. Jej przesłaniem jest, że należy postępować właściwie. Kiedyś zapytano J.K. Rowling, czy wierzy w magię. Odpowiedziała, że nie wierzy. Wierzy w siłę wyobraźni. Wielu rodziców mi dziękowało za to, że to pierwsza książka, którą dziecko w ogóle chciało przeczytać. Może z *Harrym Potterem* będzie jak z wydawanymi przez nas *Opowieściami z Narnii*. Dziś Kościół katolicki dopatruje się w nich nawiązań do Jezusa i Ewangelii; katecheci na religii omawiają *Narnię*.

Nadal jesteście jedynym wydawnictwem w Polsce, które ma licencję na wszystkie części przygód Harry’ego Pottera?

– Nadal.

Jak to się stało, że akurat pana wydawnictwo dostało licencję?

– Jeździłem do Edynburga, bo studiował tam mój syn. W okolicy miałem znajomą anglikańską panią pastor. Odwiedziłem ją kiedyś i powiedziałem, że złożyłem ofertę i czekam na odpowiedź agenta pani Joanne Rowling. Wiedziałem, że o książkę ubiega się już inne polskie wydawnictwo, i nie sądziłem, że nam się uda. A pani pastor mówi, że Joanne Rowling akurat jest jej parafianką i w niedzielę po mszy przychodzi na herbatkę.

Czyli w kolejną niedzielę pił pan herbatkę z Rowling?

– Tak. Nasza oferta finansowa na pewno nie zrobiła na niej wielkiego wrażenia – choć dla nas to i tak były wielkie pieniądze – ale wrażenie zrobił na niej nasz entuzjazm. Już po wydaniu książki pojechaliśmy całym wydawnictwem do Edynburga na premie-

rę filmową. Po premierze znów piliśmy na plebanii herbatę z panią Rowling.

Jakie trzy tytuły przyniosły wydawnictwu największe dochody.

– *Harry Potter, Jak mówić, żeby dzieci nas słuchały. Jak słuchać, żeby dzieci do nas mówiły, Opowieści z Narnii.*

A z polskich tytułów?

– Chyba największy sukces odniosła dziecięca seria Anity Głowińskiej o Kici Koci.

Kimże ona jest?!

– Rezolutną kotką, która poznaje świat razem ze swoimi przyjaciółmi. To typowo dziecięca książka. Pozbawiona przemocy, wulgarności. Dużą popularnością cieszy się także seria *Pan Kuleczka* Wojciecha Widłaka. A z zagranicznych: *Pinokio*, baśnie braci Grimm, baśnie Andersena. Dużym powodzeniem cieszą się poradniki psychologiczne, na przykład *Inteligencja emocjonalna* czy *Pułapki myślenia*.

A jakich książek na pewno pan nie wyda?

– Kiedy byłem kapłanem szpitala w Bostonie, nauczyłem się nie narzucać choremu żadnej konkretnej teologii, tylko słuchać, co ma do powiedzenia. Dwa lata później, gdy byłem już wydawcą, musiałem się zastanowić, jakie książki chcę wydawać. Zdecydowałem, że takie, które realizują wartości chrześcijańskie, ale z którymi dobrze czuje się i ateista, i wątpiący, i wierny chrześcijanin.

Był pan proboszczem parafii anglikańskiej w Warszawie. Na czym polegała pana praca?

– Na liście parafian miałem sześćdziesiąt osób, byli to głównie anglikanie z Ameryki, Malezji, Anglii, Nigerii, którzy mieszkają w Polsce

– tu założyli rodziny lub przyjechali w delegację. Moim zadaniem było celebrowanie Komunii Świętej. Dojeżdżałem pociągiem z Poznania do Warszawy raz na tydzień. To było w latach 2007-2014.

A gdzie jest pana dom?

– Mam dom w Bostonie. Co roku jadę do Ameryki. Więc obserwator mógłby powiedzieć, że mój dom, moje życie jest w Poznaniu, bo przecież tam jestem gościem. Ale kiedy wracam do Ameryki, to mam świadomość, że to ona jest moim domem.

To dlaczego mieszka pan w Polsce?

– Może to mój drugi dom?



37. Pogrzeb Roberta D. Gamble'a (2020).

38. Podczas pogrzebu. Stoją od lewej: Jędrzej Stolarski, z-ca prezydenta Poznania, Grzegorz Ganowicz, przewodniczący Rady Miasta Poznania, pastor David Brown, Roman Bielecki OP, redaktor naczelny miesięcznika „W drodze”.



39. Urna z prochami Roberta D. Gamble'a (2020).



40. W 2021 roku prezydent RP przyznał pośmiertnie panu Robertowi Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Biogram

ROBERT DAVID GAMBLE URODZIŁ SIĘ 9 MARCA 1937 ROKU w Filadelfii (USA). Był najmłodszym spośród pięcioosobowego rodzeństwa. Po roku rodzice, ojciec Clarence James i matka Sarah Merry, przeprowadzili się do Bostonu. Ojciec, lekarz z wykształcenia, poświęcił się całkowicie pracy na rzecz świadomego macierzyństwa głównie w Ameryce Łacińskiej i Azji.

Po ukończonych studiach na Harvardzie – pracę dyplomową napisał o twórczości Kiplinga, laureata Nagrody Nobla – odbył służbę wojskową w marynarce wojennej, a potem ukończył studia teologiczne w seminarium Kościoła Episkopalnego. Na pierwszą parafię trafił w stanie Iowa w małym miasteczku Grinnell, gdzie był również kapłanem dla studentów college’u. Drugą parafię objął w Bostonie, gdzie od 1980 roku aż do 1991, czyli do przyjazdu na stałe do Polski, był kapłanem w słynnym szpitalu bostońskim Massachusetts General.

Po raz pierwszy odwiedził Polskę w 1958 roku wraz z grupą kolegów w ramach wymiany studenckiej, ale – jak sam mówi – były to wakacje za żelazną kurtyną. Jego uwagę przykuły głównie wydarzenia Poznań-

skiego Czerwca 1956 roku. W 1969 roku przyjechał ponownie m.in. do Krakowa, gdzie poznał swoją przyszłą żonę, Anetę. Po paru latach, w roku 1975, urodził im się syn Dominik.

Do Poznania przyjechał już na stałe w 1991 roku. Od razu zaangażował się w działalność polskiej Wspólnoty Anonimowych Alkoholików, stając się jej mentorem i sponsorem. Tu założył studio telewizyjne Kokon i niemal równocześnie Radio Obywatelskie, pierwsze w Polsce talk radio, które swoją siedzibę miało w Zakładach Cegielskiego, gdzie zrodził się protest poznańskich robotników. Był pomysłodawcą i sponsorem popularnej w Poznaniu Wigilii pod Rondem, która odbywała się w podziemiu największego skrzyżowania w mieście. Pamięć o wigilijnych spotkaniach i wspólnym śpiewaniu kolęd przetrwała po dziś dzień.

W 1992 roku założył wydawnictwo Media Rodzina, które wkrótce stało się dla niego prawdziwym domem wydawniczym z jasno określoną misją pomagania ludziom. Do tej pory wydało około tysiąca tytułów, w tym dzięki jego inicjatywie wiele bestsellerów.

Za swoją działalność otrzymał m.in. statuetkę Hipolita Cegielskiego (1999), Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (1999), odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej (2015), statuetkę Pelikana (2015), tytuł Zasłużony dla Miasta Poznania (2016), Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (pośmiertnie w 2021 r.).

Robert David Gamble zmarł 17 listopada 2020 roku i został pochowany na Cmentarzu Miłostowskim w Poznaniu.

Autorzy wspomnień

Bronisław Kledzik
Krystyna Adamczak
Aleksandra Banasiak
Halina Bogusz
Maria Bosacka
Rev. David Brown
Nikodem Brzózy OP
Piotr Dobrołęcki
Tomasz Dostatni OP
Drukarze z Abedika
Grażyna i Krzysztof Durniatowie
Ilona Fliger
Piotr Frydrysek
Grzegorz Ganowicz
Zbigniew Grochal
Lech Jęczyk

David A. Jones
Justyna Kardasz
Beata Kolska-Lach
Hanna Koźmińska
Juliusz Kubel
Karolina Kurowska
Waldek Matyja
Alicja Mielcarzewicz-Cabane
Joanna Nowakowska
Aleksander Pikosz
Bożena Plota
Sławek „Spiker”
Wojciech Widłak
Wojciech Wołyński
Bohdan T. Woronowicz
Ewa Woydyłło-Osiatyńska

